

Samego wejścia funkcjonariuszy NKWD do naszego domu, co wydaje się aż dziwne, nie pamiętam. Jak opowiadała mi mama, miało to miejsce 14 czerwca 1941 roku o trzeciej w nocy. NKWD przyjechało do nas w dwóch grupach. Jedna natychmiast zabrała ojca a druga zaczęła swój rytuał w mieszkaniu. Najpierw pod pretekstem posiadania przez ojca broni, zrobiono rewizję. Z szaf i szuflad wyrzucono na ziemię wszystkie dokumenty i rzeczy. Zrzucano książki z półek i przewracano wazony. Mimo, iż niczego nie znaleziono dano mamie jakieś dwadzieścia minut na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy osobistych swoich oraz moich i mojego brata. Mama wpadła w panikę, bo nie wiedziała co pakować. Z jednej strony należało zabrać coś do jedzenia, z drugiej potrzebne były różne rzeczy. Mój braciszek Romuald miał przecież raptem pół roku. Nikt nie chciał nam powiedzieć dokąd jedziemy i na jak długo...

*Gavroche: dwunastoletni letni paryski ulicznik z powieści „Nędznicy” Wiktora Hugo; sierota chłopiec ulicy, sprytny i zaradny; żulik i złodziej, ale dobry i pogodny, gotów do pomocy i poświęceń.



Jan Staniszewski

Jan Staniszewski SYBERYJSKI GAVROCHE*

SYBERYJSKI GAV RO CHE*

Jan Staniszewski

Syberyjski Gavroche

Jan Staniszewski

Syberyjski Gavroche

Szczecin 2013

*Pamięci mojej Mamy Marii, brata Romualda
oraz wszystkich Przyjaciół i Znajomych,
z którymi przyszło mi dzielić czas
na nieżycziwej syberyjskiej ziemi.*

*Wspomnienia dedykuję
Żonie Hannie
Synowi Piotrowi i jego rodzinie
Bratankowi Pawłowi i jego rodzinie
Bratanicy Ewie i jej rodzinie
Bratowej Annie*

Jan Staniszewski



Czernogorsk, czerwiec 1945 r., Krasnojarsk-Chakasja

Od prawej mój brat Romuald, mama Maria i ja. Większość rzeczy które mamy na sobie została pożyczona od naszych przyjaciół w Lesozawodzie.

Ja mam na sobie wojskowe buty i spodnie.

Jest to jedyne zdjęcie które, się zachowało.

Spis Treści

WSTĘP			
Zamiast Wstępu	11	Dziwne Spotkania	81
Wspomnienia z Kresów	13	Nasze Tęsknoty	83
Moja Rodzina	17	POWRÓT	
		Romek	84
SYBIR		Koniec Wojny	85
Deportacja	20	Wracamy	88
Droga w Nieznane	22	Pasażerowie na Gapę	95
Mochow – Oswajanie Syberii	24	Dotarliśmy do Polski	98
Nadchodzą Zmiany	33	Zaczynamy Nowe Życie w	
Kierunek Leszawod	35	Gryficach	101
Życie w Leszawodzie	39	Syberyjskie Piętno	106
Pomoc z Zewnątrz	51	Moja Edukacja	107
Sztuka Przetrwania	56	Życie bez Ojca	111
Mocowanie z Buranem	65	Mama	113
Wypadek Mamy	67	Syberyjskie Matki	116
Lepioszki – Szansa Na			
Lepsze Życie	70	ZAKOŃCZENIE	
Wyprawy po Mąkę	72	Leczenie Traumaty	119
Szczęście w Nieszczęściu	76	Syberyjska Sposzczizna	121
Wolontariat w Szpitalu	79	Zamiast Zakończenia	122
		Dokumenty i Mapy	126

Zamiast Wstępu

23 sierpnia 1939 roku został zawarty w Moskwie dziesięcioletni rosyjsko-niemiecki układ o nieagresji znany jako pakt Ribbentrop–Mołotow. Równocześnie Niemcy ze Związkiem Sowieckim podpisały tajny dodatkowy protokół o podziale Polski. Ustalono, m.in., że granica rozbioru będzie przebiegać na linii Narwi, Bugu i Sanu. Pakt ten otworzył Hitlerowi drogę do agresji na Polskę. Po jego podpisaniu Hitler nie krył już swoich zamiarów. W swoich przemówieniach mówił: „Zniszczenie Polski jest naszym pierwszym zadaniem. (...) Podam dla celów propagandy jakąś przyczynę wybuchu wojny, mniejsza z tym, czy będzie ona wiarygodna czy nie. Zwycięzcy nikt nie pyta, czy powiedział prawdę. (...) Bądźcie bez litości. Bądźcie brutalni. (...) Wojna ma być wojną wyniszczenia”. Podpisanie paktu Ribbentrop–Mołotow, agresja Niemiec na Polskę 1 września 1939 roku oraz agresja Związku Sowieckiego na Polskę 17 września 1939 roku, bywają przez historyków określane jako IV rozbiór Polski.

Rosja Sowiecka swoje sojusznicze zobowiązania zaczęła realizować bardzo szybko. Już we wrześniu 1939 roku Armia Czerwona Związku Sowieckiego rozpoczęła „wyzwoleńczy marsz” do Polski. W jego wyniku zajęła wschodnie obszary Rzeczypospolitej. Zawłaszczone tereny włączono w skład Ukraińskiej SRR i Białoruskiej SRR. Kolejnym krokiem było „oczyszczenie” nowo włączonych ziem z „niepewnego elementu”. Środkiem do celu stały się masowe wysiedlenia do odległych regionów ZSRR. W latach 1940–1941 przeprowadzono cztery masowe akcje deportacyjne. Oficjalnie mówi się o deportacji ponad miliona trzystu tysięcy obywateli polskich. Po „odwilży” będącej efektem podpisania traktatu pomiędzy rządem polskim na uchodźstwie a Stalinem,

około sto piętnaście tysięcy trafiło do armii gen. Andersa i razem z nią opuściło terytorium ZSRR. Część Polaków powróciła do Polski w latach 1946–47, część dziesięć lat później. Niektórzy z różnych powodów nie powrócili nigdy. Bardzo wielu z deportowanych zmarło, nie wytrzymując syberyjskich mrozów oraz z powodu głodu.

Każda z deportowanych osób przeżyła ten czas inaczej i każda wróciła z innym bagażem wspomnień. Ile osób tyle historii.

Wspomnienia z Kresów

Nazywam się Jan Staniszewski. Urodziłem się w 1934 roku w małej wiosce Świsłocz leżącej nad rzeczką o tej samej nazwie. Kiedy miałem trzy lata rodzice kupili ziemię w miasteczku Mosty i rok później rozpoczęli budowę domu. Ukończyli go w 1939 roku. Mosty były małym miasteczkiem położonym nad Niemnem i usytuowanym w powiecie Wołkowsk, nieopodal Grodna. Przed II wojną światową Mosty należały do województwa białostockiego. Mieszkaliśmy na wysokim brzegu po prawej stronie Niemna. Ta część nosiła nazwę Zelwiany. Nazwa wzięła się od rzeczki Zelwianki, która nieopodal wpadała do Niemna. Po drugiej stronie rzeki była właściwa część miasta.

Mosty w tamtych czasach były bardzo znanym miasteczkiem. Od 1926 roku istniała tu Fabryka Dykt, zatrudniająca ponad pięćset pracowników. Fabryka w Mostach była jedynym producentem sklejek lotniczych w Polsce. Szacuje się, że w latach 1930–1939 wyprodukowano łącznie co najmniej dwa tysiące sztuk samolotów o konstrukcji drewnianej lub mieszanej (drewno–stal) z użyciem sklejek z Mostów.

Postawiony przez rodziców dom był drewniany, zbudowany z modrzewiowych bali. Dach był dwuspadowy. Dom miał około 110–120 m kwadratowych powierzchni. Było jeszcze użytkowe poddasze oraz różne przybudówki a wokół domu mieliśmy, będący oczkiem w głowie mamy, mały ogródek. Dodatkowo mieliśmy jeszcze hektar ziemi, na której ojciec założył sad. Ojciec był także komendantem paramilitarnej organizacji o nazwie Strzelec. Z dzieciństwa pamiętam festyny organizowane przez tą organizację z okazji różnych uroczystości państwowych. Festyny odbywały się niedaleko nas na obszarze między Niemnem a Zelwianką. Wpa-

dająca do szerokiego Niemna rzeczką, tworzyła półwysep, będący urokliwym miejscem. Na festynach było bardzo kolorowo i grała muzyka. Pamiętam też watę cukrową i takie kolorowe wiatraczki, które rodzice kupowali dzieciom. W trakcie jednej z uroczystości ojciec zabrał mnie na spotkanie odbywające się w miejscowym Domu Kultury. Podawano tam także jedzenie. Mój zachwyt wzbudziły bardzo cieniutkie kielbaski, które jak mi potem powiedziano zrobione były z gęsiny.

Jak przypominam sobie obrazy z miasteczka, to wszędzie widzę mnóstwo Żydów. Widzę ich tak dużo, że zastanawiam się czy nie stanowili większości miejscowego społeczeństwa. Czy tak jednak było naprawdę to nie wiem. Żydzi prowadzili sklepy i warsztaty. Przypominam sobie, że krótko przed wojną byłem razem z ojcem w prowadzonym przez Żyda – warsztacie stolarskim. Ociec odbierał zamówiony wcześniej stół. Ponieważ moja mama pracowała, to ja już jako czterolatek byłem samodzielnym dzieckiem i mnóstwo czasu spędzałem sam w domu. Rodzice załatwili w pobliskim sklepiku u sąsiada Żyda, że w ciągu dnia jeśli byłem głodny, mogłem wejść do sklepu i wybrać sobie jakąś bułkę a oni po powrocie z pracy regulowali należność.

W pamięci utrwaliły mi się także wyprawy do dziadków. Mieszkali od nas w odległości około trzydziestu kilometrów. Jechało się podnajętą podwodą czyli wozem konnym do jakiejś miejscowości a potem szło się pieszo. Dla mnie, małego dziecka to była prawdziwa wyprawa. Zapamiętałem też przyjaciół rodziców, którzy mieszkali niedaleko drewnianego, solidnego mostu rozpiętego nad Niemnem. Most wbił mi się w pamięć szczególnie mocno bo któregoś razu, kiedy szliśmy do nich w odwiedziny, zbiegłem na brzeg Niemna i zobaczyłem w wodzie przedmiot, który mnie zainteresował. Ojciec wytłumaczył mi potem, że była to kostka trotylu, który zimą wysadzano w okolicy mostu żeby rozbić spiętrzające się wokół mostu – kry. Zimy były u nas ciężkie. Temperatury dochodziły do minus trzydziestu stopni. Wodą spływały kry i gromadziły się wokół mostu. Nachodziły jedna na drugą. Pamiętam też, że przy

okazji innej wizyty od strony mostu dochodził straszny huk. To nachodzące na siebie kry wydawały taki hałas. To były niesamowite odgłosy. Żeby więc nie dopuścić do zniszczenia mostu, kry wysadzano trotylem, chcąc w ten sposób zapobiec połamaniu podpór.

Moje wspomnienia z pierwszych wrześniowych dni podsuwają mi tylko nerwowy nastrój w domu, gromadzenie podstawowych produktów typu mąka, sól, groch, oraz obraz nalotu samolotów i bombardowanie naszej fabryki. Bombardowanie trwało jednak niedługo. Nie wiele widziałem, bo tuż przed wybuchem wojny, ojciec przygotował w ogrodzie dla każdego z nas, taki mini schron czyli ziemiankę. Jak zaczęto bombardować fabrykę to mama natychmiast wysłała mnie do tego schronu a sama schowała się w drugim. Ojca wówczas już z nami nie było bo 1 września w chwili wybuchu wojny polsko niemieckiej udał się na front. Z tego co opowiadał mi po powrocie, doszedł do granicy z Rumunią. Przyznał się, że chciał przekroczyć granicę rumuńską i iść dalej ale bardzo martwił się o nas i wrócił. Mama była w ciąży. Na początku grudnia miał urodzić się mój brat. W sumie naloty trwały krótko i potem wszystko wróciło do normy. Nigdy w miasteczku nie widziałem żadnego Niemca. Niestety ta stabilizacja nie trwała długo. W połowie września wrócił ojciec. Równocześnie na obrzeżach Mostów pojawiły się grupy uciekających polskich kawalerzystów. Uciekali konno i furmankami. Niektórzy odpoczywali w usytuowanym nieopodal naszego domu, lesie. Donosiliśmy im chleb i wodę. Wtedy wszystko działo się bardzo szybko. Z jednej strony przemieszczali się polscy żołnierze, a z drugiej wchodzili Rosjanie. Choć miałem wówczas pięć i pół roku, wiedziałem że to Rosjanie. Poznawaliśmy ich po długich i nieobrobionych od dołu płaszczach czyli szynelach i charakterystycznych białych, płóciennych, spiczastych czapkach z nausznikami i z dużą, czerwoną gwiazdą nad czołem. Były to tak zwane „szlomy”. Mieli też charakterystycznie przewieszone przez ramię karabiny. Niektóre zwisały na sznurkach. W mojej pamięci odcisnął się także niezwykle widok bram powitalnych zbudowanych na część wchodzących do miasta Rosjan. Jedną z takich bram postawiono około trzysta metrów od

naszego domu. Była ona ozdobiona girlandami i kwiatami. Obok bramy stała orkiestra. Nie pamiętam jednak co grali.

W tamtych latach moja wiedza o tym co dzieje się wokół pochodziła najczęściej z podsłuchiwania rozmów dorosłych. Rodzice rozmawiali ze mną, ale czułem, że nie mówili mi wszystkiego. Z obserwacji zachowań otaczających mnie dorosłych, wnioskowałem że nie jest dobrze, ale wielu rzeczy nie rozumiałem. Dlatego zacząłem podsłuchiwać rozmowy rodziców między sobą oraz ze znajomymi, prowadzone w naszym domu. Ukrywałem się za drzwiami, pod stołem, gdzie się dało i podsłuchiwałem. Pamiętam rozmowę rodziców na temat tych powitań i bram. Wynikało z niej, że bramy w głównej mierze były dziełem Żydów i to po części naszych sąsiadów i jednocześnie znajomych rodziców. Ojciec mówił, że niektórzy z nich odgrążali się, że teraz to dopiero pokażą kim są. Mówił także, że część ze znajomych Żydów kazała mówić na siebie już nie Żyd a po rosyjsku Jewrej. Podsłuchiwałem też rozmowę, w trakcie której rodzice martwili się z powodu braku żywności, bo Żydzi pozamykali część sklepów. Potem to się jakoś unormowało, ale życie było już inne i na innym poziomie. Niby wszystko się ugładziło, ale już nie było tak samo. Rosjanie wprowadzili swoje porządki. Ta cześć Żydów, która popierała Rosjan miała się dobrze, ta która nie ugięła się przed nimi klepała taką samą biedę jak wszyscy. Ale ta bieda jeszcze w tamtym okresie tak bardzo mi nie doskwierała. Byłem dzieckiem i wiele czasu spędzałem na zabawach z kolegami. Ale te zabawy nie były już takie beztrudne. Niby to, co działo się wokół nie dotyczyło nas dzieci, ale nerwowość dorosłych, rozmowy prowadzone szeptem, atmosfera niepewności, podziały które nagle się wytworzyły, wszystko to oddziaływać też na nas. Nie potrafię dziś powiedzieć na czym polegała różnica w naszych zachowaniach, ale gdybym miał to opisać obrazem, to myślę, że mógłbym ten czas porównać do zabaw o zmroku. Niby fajnie, ale gdzieś pod skórą czaił się strach.

Moja Rodzina

Moja mama Maria, z domu Czura, rocznik 1911 pochodziła z leżącej nieopodal miejscowości Piaski. Dziadkowie ze strony mamy Józef i Emilia w czasach mojego dzieciństwa nadal tam mieszkali. Mieli samodzielny dom z gospodarstwem, lasem a nawet i rzeczką. U nas na wschodzie mówiło się, że ktoś taki, kto ma indywidualne gospodarstwo i jest niezależny – to mieszka na kolonii. Dziadek odziedziczył ten dom po swoich rodzicach. Mój pradziadek dostał ziemię z nadania i materiał na budowę domu. Musiał się czymś zasłużyć, ale niestety wówczas nikt mi nie powiedział czym a potem to już nikt nie wiedział. Mama też nie wiedziała. Majątek dziadka to było półtora hektara ziemi z domem i lasem oraz sześć i pół hektara ziemi w dwóch częściach w innych miejscach. Przez jego teren przepływała rzeczka. W tej rzeczce nauczyłem się łowić pierwsze ryby a do lasu chodziłem z dziadkiem na pierwsze polowania. Babcia Emilia pochodziła z wioski Koniewce. Jej rodzice mieli gospodarstwo. Babcia z domu nazywała się Kornacewicz. Miała trzech braci: Bronisława, Macieja i Wiktora oraz siostrę Marię. Dziadkowie ze strony mamy mieli trzynaścioro dzieci. Trzech chłopców i dziesięć dziewczynek. Jeden z synów Roman zmarł w dzieciństwie w wieku pięciu lat. Ja znałem najmłodsze rodzeństwo mamy, braci: Staszka i Wacława oraz siostrę Janinę bo mieszkali jeszcze razem ze swoimi rodzicami a moimi dziadkami. Kiedy moi rodzice się budowali i często przebywałem u dziadków to oni się mną zajmowali. Jako małe dziecko chodziłem z dziadkiem do lasu. Często razem polowaliśmy na ptaki. Ponadto łowiliśmy razem ryby w rzece. Utkwiło mi w pamięci wyciąganie ryb spod kamieni.

Babcię zapamiętałam jako kobietę w długiej spódnicy, ładnym

fartuchu i włosach upiętych w kok. Pamiętam też, że w domu dziadków była osobna duża izba, na środku której stało z mojej płaszczyzny patrzenia ogromne krosno. Na tym krośnie babcia tkła z lnianej przędzy tkaniny, z których potem szła odzież. Tkła też różne makatki i narzuty. Dziadek zmarł w roku 1940 a babcia w 1955 roku mając siedemdziesiąt lat.

Mój ojciec Piotr bardzo wcześnie został sierotą. Miał dziesięcioro rodzeństwa – dziewięciu braci i jedną siostrę Stefanię. Pochodził z bliźniąt. Jego brat bliźniak miał na imię Paweł i też mieszkał w Mostach. Rodzina ojca pochodziła z ubogiej krakowskiej szlachty. Mój dziadek ze strony ojca miał na imię Konstanty a babcia Katarzyna. Babcia była z domu Lisajewska. Majątek dziadka został zlicytowany z przyczyn nie znanych. Efektem tego zdarzenia była przedwczesna śmierć obojga dziadków. Ponoć, jak to się wówczas mówiło, zmarli ze zgryzoty. Wcześnie osierocili jedenaścioro dzieci. Cześć dzieci trafiła na wychowanie do dziadków. W tamtych czasach osoby zamożne często brały na wychowanie lub pod opiekę dzieci z ubogich rodzin lub sieroty z rodzin wcześniej zamożnych. Obowiązkiem opiekunów było zapewnienie wyżywienia, zakwaterowania i nauki zawodu. W zamian za to byli zwolnieni z części podatku. Mój ojciec i kilkoro z jego rodzeństwa trafili do dziadków zamieszkających na naszym terenie. Ojca wykształcono na ogrodnika. Ponieważ w tamtych czasach na kresach mocno było rozwinięte ogrodnictwo to wykształceni ogrodnicy byli poszukiwani. Tereny tamtej Białostockiej służyły ze znakomitych owoców i warzyw. Mówiło się, że są warzywnym zapleczem Warszawy. Jak pamiętam, wszędzie było mnóstwo ogrodów i sadów. Utkwił mi obraz główek kapusty sięgających aż po horyzont. Wszędzie było także mnóstwo różnorodnych, bardzo kolorowych kwiatów. W szkole ogrodniczej ojciec spotkał brata mojej mamy Wacława, który też uczył się zawodu ogrodnika. W przyszłości miał przejąć gospodarstwo po dziadku. Ojciec po skończeniu szkoły, ogrodnicze szlify zdobywał w miejscowości Strubnica, w majątku dużego dziedzica o nazwisku Biszping-Glindzicz. Majątek nazywał się Kwatera. Ten człowiek

został później moim ojcem chrzestnym. Ze Strubnicy ojciec przeniósł się do Mostów, gdzie zaproponowano mu pracę naczelnego ogrodnika w największej w miasteczku fabryce czyli słynnej już wówczas Fabryce Dykt. Na terenach przynależnych do fabryki a także bezpośrednio na jej terenie znajdowało się mnóstwo zieleni. Były piękne drzewa, różne krzewy oraz mnóstwo kwiatów. Ponieważ właściciele bardzo wówczas dbali o wizerunek firmy to zielenią zajmowali się wykształceni ogrodnicy. Kiedy ojcu zaproponowano posadę naczelnego ogrodnika w tej firmie to przyjął ją. W Mostach, w Fabryce Dykt ojciec poznał moją mamę, która pracowała przy maszynie formującej sklejki. Rodzice pobrali w 1932 roku a ja urodziłem się po dwóch latach.

Deportacja

Zasadą było, że każdemu wejściu funkcjonariusze NKWD do mieszkań i zabieraniu ludzi, towarzyszyli cywile. Była to jedna a niekiedy nawet dwie osoby. Czasami zdarzało się że byli to Polacy, czasami Białorusini ale najczęściej byli to Żydzi. To ci społecznicy wskazywali, gdzie mieszka osoba do deportacji i po przyjeździe z funkcjonariuszami NKWD potwierdzali jej tożsamość. Ponoć te listy osób przeznaczonych do deportacji sporządzone zostały w pierwszych dniach po wejściu Rosjan do miasta. Przy ich sporządzaniu czynny udział mieli miejscowi. Choć Rosjanie byli strasznymi bałaganiarzami to pod tym względem byli skrupulatniejsi od Niemców.

Wejścia do mieszkań, podobnie jak same aresztowania odbywały się w nocy a najczęściej nad ranem. Funkcjonariusze NKWD podjeżdżali podwodami czyli furmankami zaprzęgniętymi w konia. Takiemu wejściu zawsze towarzyszył potworny łomot do drzwi i jeszcze straszniejsze krzyki. Wszystkich wyrzucano z łóżek, plądrowano mieszkania. Płacz dzieci i kobiet mieszał się z wrzaskami i groźbami enkawudzystów. Pierwsze deportacje na naszym terenie zaczęły się w lutym 1940. W pierwszej kolejności wywieziono całą lokalną inteligencję (lekarzy, prawników, nauczycieli i właścicieli ziemskich). Potem była deportacja kwietniowa i wszystkim wydawało się że wywożenie ludności już się zakończyło. Tymczasem odbyła się jeszcze trzecia–czerwcową. My zostaliśmy zakwalifikowani do deportacji politycznej. Byliśmy niebezpiecznym elementem. Po wojnie nasi sąsiedzi, państwo Nowakowie, którzy uratowali się i zamieszkali w Szczecinku opowiadali nam, że ojca ktoś zadenuncjował że był kawalerzystą, podoficerem a przed wojną komendantem organizacji Strzelec a ponadto należał do

organizującego się Związku Walki Zbrojnej, poprzedniczki AK. A to już wystarczyło. Ponoć koledzy ostrzegali ojca, że jest obserwowany, ale on nie docenił NKWD. Miał jakieś lewe papiery i wydawało mu się, że to wystarczy. Niestety mylił się.

Samego wejścia funkcjonariuszy NKWD do naszego domu, co wydaje się aż dziwne, nie pamiętam. Jak opowiadała mi mama, miało to miejsce 14 czerwca 1940 roku o trzeciej w nocy. NKWD przyjechało do nas w dwóch grupach. Jedna natychmiast zabrała ojca a druga zaczęła swój rytuał w mieszkaniu. Najpierw pod pretekstem posiadania przez ojca broni, zrobiono rewizję. Z szaf i szuflad wyrzucono na ziemię wszystkie dokumenty i rzeczy. Zrzucono książki z półek i przewracano wazony. Mimo, iż niczego nie znaleziono dano mamie jakieś dwadzieścia minut na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy osobistych swoich oraz moich i mojego brata. Mama wpadła w panikę, bo nie wiedziała co pakować. Z jednej strony należało zabrać coś do jedzenia, z drugiej potrzebne były różne rzeczy. Mój braciszek Romuald miał przecież raptem pół roku. Nikt nie chciał nam powiedzieć dokąd jedziemy i na jak długo. Mama była na tyle przytomna, że zgarnęła z podłogi część dokumentów i wsadziła do siatki. Pomocni okazali się też najbliżsi sąsiedzi. Nie tylko pomogli w pakowaniu ale i odstąpili część własnej żywności. Potem wsadzono nas na wozy i wywieziono. Wieziono nas przez drewniany most na dworzec. Z tego co później mi mama opowiadała to w trakcie przejazdu przez most, chciała wyskoczyć z wozu i rzucić się w nurt Niemna. W jednej chwili runął jej świat i nie potrafiła zapanować nad tym co się dzieje. Była tak zdesperowana że już trzymała się drabinki wozu, żeby wyskoczyć. I nagle naszło ją pytanie – co ja robię, a co z dziećmi? I w tym momencie wróciła równowaga. Wiedziała, że musi stawić czoła nowemu wyzwaniu, wiedziała, że od tej pory musi być silna i postanowiła, że już taka będzie i nigdy nas nie opuści.

Droga w Nieznane

Moje wspomnienia z deportacji zaczynają się dopiero od jazdy wozem przez miasto, przejazdu przez drewniany most i dojazdu na dworzec kolejowy. Na dworcu zaskoczył mnie widok ogromnej ilości towarowych wagonów. Przy każdym z nich było mnóstwo żołnierzy. Na początku każdego wagonu była taka budka i w każdej z nich stali żołnierze. Jadąc w tych budkach, towarzyszyli nam przez całą drogę. Pilnowali nas, mimo że wszystkie wagony były w trakcie jazdy zaryglowane. Do każdego wagonu wsadzano od 40–60 osób. Wewnątrz każdego z nich znajdowały się trzy piętrowe prycze. W ścianie przy drzwiach było małe okienko. Normalnie było ono otwierane, ale w tym wypadku było skręcone drutem kolczastym. Na dworcu się kotłowało. Żołnierze potwornie krzyczeli, dzieci i kobiety płakały. Słysząc było histeryczne szlochy oraz nawoływania rodzin i sąsiadów. Niektórzy dowiedzieli się o wywózce najbliższych i szybko przybyli na dworzec aby się z nimi pożegnać, lub podrzucić jeszcze coś do ubrania lub jedzenia. Nam też sąsiedzi w ostatniej chwili podrzucili jeszcze jakąś paczkę.

Czy się bałem? Nie pamiętam. Chyba nie do końca zdawałem sobie sprawę z tego co się dzieje. Co prawda podsłuchiłem kilkakrotnie rozmowy rodziców na ten temat i miałem jakąś orientację na temat deportacji, ale tak do końca nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Owszem byłem przerażony bo czułem, że dzieje się coś złego, ale nie do końca wiedziałem co.

Deportowano nas w czerwcu. Były straszne upały. Na miejsce przeznaczenia jechaliśmy około miesiąca. Na granicy ze Związkiem Sowieckim przeładowano nas do innych wagonów z innym rozstawem osi. Przez całą drogę wagony były zaryglowane. W trakcie drogi otwierano je raz na dzień, raz na dwa a czasami

dopiero po trzech dniach. Wszystko uzależnione było od tego, jakie odległości były między stacjami. Zdarzało się, że po otwarciu wagonu dostawialiśmy wodę, czasami wrzątek a niekiedy nawet wrzucono jakiś chleb. Raz na kilka dni otrzymywaliśmy jedno lub dwa wiadra z bliżej nieokreśloną pod względem smaku, koloru i zawartości–zupą. Czym karmiła mama mojego półrocznego brata? Nie pamiętam. Nie sadzę jednak, żeby w takiej traumie zachowała jakikolwiek pokarm. Pamiętam natomiast, że nad świeczką podgrzewano wodę i w tej ciepłej wodzie mama moczyła dla brata sucharki. Wiele osób nie przetrzymywało podróży w tych warunkach. Starsze osoby umierały w wyniku chorób i stresu, dzieci z głodu i gorąca. Deportowano nas latem i niektórzy w nerwach nie pomyśleli o zabraniu czegoś cieplejszego, zapasów jedzenia czy lekarstw. NKWD przy zabieraniu z domów nie informowała o tym dokąd zabierają i na jak długo. W naszym wagonie też jedna osoba zmarła.. Musieliśmy z nią jechać tak długo, aż nie dojechalibyśmy do kolejnej stacji i nie otworzono wagonu. Żołnierze kiedy weszli i zobaczyli martwą osobę to zabrali ciało i wyrzucili na stację. I tak tam zostało. Cała droga na Syberię znaczone była ciałami polskich wysiedleńców. Potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy przez dziurę w podłodze wagonu. Potem ktoś zrobił jakiś parawan, żeby zachować choć trochę intymności.

Wywózka odbywała się na zasadzie jakiejś rejonizacji. Polaków z południa czyli z Wołynia i Podola deportowano do Kazachstanu, natomiast nas z północnych części Polski wywożono na tereny Syberii za Ural. My trafiliśmy do środkowej Syberii do Krasnojarskiego Kraju. Rosjanie przez słowo kraj rozumieli duży obszar ziemi. Krasnojarski kraj miał powierzchnię ponad dwóch milionów kilometrów kwadratowych czyli siedmiokrotnie większą aniżeli współczesna Polska. Trafiliśmy w rejon Wyżyny Sajańskiej. Od północy, południa i zachodu otaczały nas góry Sajany. Urzędowo nazywało się to Krasnojarskij Kraj, Chakasskaja Awtonomiczeskaja Republika, Abakanskaja Oblast. Stolicą a zarazem największym miastem Oblasti był wówczas Abakan.

Mochow – Oswajanie Syberii

Po dotarciu do Abakanu, nas i jeszcze dwie rodziny zapakowano na osobny wóz i powieziono w nieznane. Druga rodziną była nauczycielka z Zelwian czyli z tej części Mostów, w której my mieszkaliśmy a trzecią pani Żymetro z trójką dzieci. Ponieważ mieliśmy status specpieresieleńców, czyli specjalnych zesłańców, to wywieziono nas do kołchozu Mochow, położonego jeszcze sporo kilometrów za Lesozawodem i oddzielonego od niego górami. Po dotarciu do Mochowa, zakwaterowano nas w świetlicy. Następnie dostaliśmy 3 dni na zagospodarowanie. Zagospodarowanie oznaczało poszukanie sobie miejsca noclegu. Problem polegał na tym, że kołchoźnicy sami mieszkali w ziemiankach lub lichych drewnianych chatach. Warunki mieszkaniowe w Mochowie były potworne. Wiele osób mieszkało w ziemiankach, niektórzy w barakach. Najgorsze było jednak to, że nasz przyjazd poprzedziła informacja, iż niebawem do kołchozu przyjadą specpiereselency czyli element podejrzany, którego trzeba pilnować. Kto w takiej sytuacji chciał wziąć jak to się określało—na izbę, osoby niepewne. Dostarczanie opinii o nas, przed naszym przyjazdem to był element wyrafinowanej polityki władz sowieckich. Trudno się zatem dziwić, że w tej sytuacji mama nie mogła znaleźć dla nas żadnego lokum. Może i po cichu mieszkańcy litowali się nad naszym losem, ale oficjalnie nikt nie chciał mieć kłopotów. Nikt nie chciał narażać się władzy. Wreszcie po długich poszukiwaniach, ktoś wskazał mamie wolną ziemiankę na skraju kołchozu. Była straszna ale w tej sytuacji przyjęliśmy ją jak dar niebios i natychmiast w niej zamieszkaliśmy. Pamiętajmy, że w tamtym rejonie występuje wieczna zmarzlina. Jeśli ziemia tajała latem to najwyżej na głębokość jednego metra. Ziemianki budowano w ten sposób, że

kopano otwór w ziemi, w tym otworze stawiano zbitą z bali i desek chatkę i obkładano ją grubą warstwą ziemi. Warstwa musiała być naprawdę gruba, bo mrozy w tym rejonie dochodzą do minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Połowa ziemianki wystawała ponad ziemię. Druga połowa była w ziemi. Do ziemianki schodziło się po schodkach w dół. Każda taka ziemianka to był przedsiönek i jedno pomieszczenie z małym oknem. W pomieszczeniu był piecyk, taka popularna koza z wychodzącym na zewnątrz kominem. Podłoga wyłożona była deskami. Do spania mieliśmy prycze i to było wszystko. Kiedy przyjechaliśmy to był lipiec. Pamiętam, że wokół było mnóstwo bujnej zieleni. Były to jednak niewysokie krzewy, jakieś dzikie kwiaty i bardzo wysoka trawa. Drzew w tamtym rejonie było nie wiele. Tajga była nieco dalej a my byliśmy na wyżynie, gdzie drzewa rosły tylko obok wody a wokół nas był step. Był to więc teren dla nas niezwykle trudny. Niestety lato trwało krótko. We wrześniu już zrobiło się zimno. Na początku października już były straszne mrozy i mnóstwo śniegu. Temperatury spadały do minus pięćdziesięciu stopni. Na Syberii zima jest długa, a pozostałe pory roku bardzo krótkie. Wiosna przychodzi nagle, wszystko szybko budzi się do życia, potem jeszcze szybciej przychodzi lato, by za chwilę zmienić się w jesień a po krótkiej jesieni zaczyna się trwająca ponad pół roku zima. Mało na tym terenie jest deszczu. Jednak z tego co pamiętam, jak już się pojawił, to roślinność była niewyobrażalnie wybujała. Mamę skierowano do pracy w kołchozie. Pozostałe dwie rodziny, które trafiły tu razem z nami też gdzieś znalazły lokum i może to dziwne, ale nie mieliśmy z nimi kontaktu. Mama pracowała od świtu do zmroku a ja zajęty byłem opieką nad bratem oraz zdobywaniem pożywienia. Nie pamiętam, abyśmy dostawali coś poza czarnym chlebem. Pracujący ciężko mieli 600–700 gram chleba na dzień, pracujący łżej 450 gram chleba oraz coś, co przypominało zupę. W kołchozie zamiast chleba i zupy wydawano często mąkę i kartofle oraz bardzo rzadko trochę mleka oraz łoju. Ci, co nie pracowali oraz dzieci otrzymywali tylko 200–300 gram, ale ten chleb pojawiał się tak rzadko, że nawet nie mogliśmy na niego liczyć.

Wydawany był zawsze na głównym placu, oczywiście na kartki. Początkowo zdarzało się że pojawiał się raz na trzy dni, potem raz w tygodniu a jak wojska niemieckie weszły w głąb Związku Radzieckiego, to chleb pojawiał się bardzo rzadko. Informowano nas, że chleba dla nas nie ma bo potrzebniejszy jest żołnierzom na froncie. Czekaliśmy w kolejkach całe noce i dni. Czasami tygodniami. Wydawany był tylko na bieżące kartki. Kartki z tych dni, kiedy chleba nie dostarczono, przepadały. Chleb był „kirpiczny” (cegłany), pieczony w foremkach o tym kształcie, czarny i bardzo twardy. Było w nim wszystko. Stare ziemniaki, jakaś brukiew i mnóstwo wody. Najmniej było mąki. Im większa bieda robiła się w kraju tym chleb był gorszy. Nie nadawał się na przechowanie nawet na 2–3 dni, bo natychmiast kurczył się, zsychał i robił twardy jak skała a do tego jeszcze błyskawicznie pleśniał. Mimo wszystko był dla nas bezcenny. Kiedy się pojawiał, to w kolejkach działy się dantejskie sceny. Nie raz dochodziło do szarpaniny i ciężkich pobić. A kto stał? Dzieci, starcy i inwalidzi. Każdy, kto nadawał się do pracy, musiał pracować, więc nie mógł stać w kolejce. Żeby móc nakarmić półrocznego syna, mama wyprzedawała lub zamieniała na żywność naszą odzież przywiezioną z domu. Ale to były małe ilości i ledwo starczały dla brata. Kiedy zatem osadzono nas w kołchozie to ja natychmiast zacząłem penetrować teren w poszukiwaniu czegokolwiek do jedzenia. Bardzo szybko poznałem smak makuchów. To były sprasowane w bloki odpadki kukurydziane, którymi karmiono zwierzęta. Szukając czegoś do jedzenia, trafiłem w oborze na jakieś kawałki czegoś mi nieznane-go. Spróbowałem i okazało się, że to było nawet smaczne. Byłem tak głodny, że przypuszczam, iż smakowałoby mi wszystko. Później niejednokrotnie jeszcze podkrażałem zwierzętom te makuchy. Musiałem jednak bardzo uważać, bo to było surowo zabronione. Bardzo bałem się, żeby mnie nie złapano i nie zatłuczono. Ciągłe słyszeliśmy, że przywieziono nas w to miejsce na zatracenie a nie na wygodę. Dlatego też, przez cały okres pobytu, nikt nigdy nie zainteresował się mną nikt mnie o nic nie zapytał. Musiałem walczyć o przetrwanie swoje i małego brata. A miałem tylko nieco

ponad sześć lat. Dlatego bardzo szybko zacząłem krążyć po całym terenie aby go dobrze poznać. Kołchoźnicy mogli uprawiać małe przydomowe ogródki. Mieli ogórki, marchew i różne warzywa. Czasami im też coś podkładałem. Nie było to zadanie łatwe, bo tam wszyscy wszystkiego pilnowali. Takich kradnących dzieci i nie tylko dzieci było mnóstwo. Bieda była straszna a głód był zjawiskiem powszechnym.

Nasza sytuacja to znaczy osób zwiezionych w ramach zesłania, była o tyle jeszcze gorsza od pozostałych, że nie wolno nam było uprawiać tego małego przydomowego ogródka. Ziemi było pod dostatkiem, mógłbym to robić, ale niestety my do ogródka nie mieliśmy prawa. W trakcie jednej z kolejnych poznawczych eskapad dotarłem do jakiś obór położonych w otoczeniu krzewów, nieco dalej w dolinie. W trakcie szukania makuchów, nagle usłyszałem za sobą jakiś szelest. Kiedy odwróciłem się zobaczyłem wychodzące zza krzewów dziwne monstrum. W moim pojęciu była to najstraszniejsza czarownica. Ubrana była w jakieś prze-różne rzeczy, kolorowe szmatki i coś dziwnego miała na głowie. Takiego monstrum nigdy wcześniej nie widziałem. Przeraziłem się tak, że straciłem przytomność. Potem okazało się, że zbytnio się nie pomyliłem, bo to była bardzo stara, chakaska szamanka. Jakoś mnie odratowała, ale bardzo ten epizod odchorowałem. Miałem potworne napady lęków. Budziłem się po nocach z krzykiem. Zachorowałem na tak zwaną chorobę lękową. Mama nie wiedziała co ze mną robić. Miejscowe kobiety zlitowały się i zaprowadziły mamę do tej samej szamanki co mnie tak przez przypadek wystraszyła. Sporządziła jakieś ziołowe mikstury, które podawano mi do picia i po jakimś miesiącu wróciłem do równowagi. Ale skutki tego przestraszenia pozostały do dziś. Mimo upływu tak wielu lat, nie mogę oglądać horrorów. Natychmiast widzę tamten obraz. Ale i tak jestem wdzięczny tej chakaskiej szamance za uzdrowienie i miejscowym kobietom za to, że mamę do niej zaprowadziły. W tym miejscu warto dodać, że mieszkańcom kołchozu zabraniano kontaktu z nami. Każdy przejaw jakiegokolwiek kontaktu był bardzo surowo karany. Mama mogła się tylko kontaktować

z miejscowymi w pracy. Przez pierwszy rok nikt, nigdy nas nie odwiedził. Nazywano nas białymi rękami – białymi rękoma czyli polskimi panami. Dlatego też kobiety, które pomogły mamie dotrzeć do szamanki sporo ryzykowały. Na szczęście udało się i nikt na nie doniósł. Skąd wzięła się tam chakaska szamanka? Chakasi to lud pochodzenia tureckiego, znani dawniej jako Tata-rzy minusińscy lub abakańscy. Chakasi wyznawali do XIX wieku szamanizm a potem przeszli na prawosławie. Taka przynajmniej była oficjalna wersja. W czasach naszego pobytu, w okolicach Abakanu ludność chakaska należała już do zdecydowanej mniejszości. Rosjanie bardzo sobie jednak cenili wiedzę Chakasów w zakresie lecznictwa i często z niej korzystali.

W naszej ziemiance przemieszkaliśmy prawie rok. Potem mamie udało się wynająć pokój u jednej z miejscowych Rosjanek. Ale mieszkaliśmy u niej bardzo krótko, bo w naszym życiu nastąpił mały zwrot. Mało pamiętam to mieszkanie u rodziny na pokój, natomiast życie w ziemiance dobrze wbiło mi się w pamięć. Zimą, wszędzie na ścianach był lód. Mimo potężnych mrozów i bardzo dużych opadów śniegu mama codziennie szła do pracy. Bardzo często byliśmy tak po nocy zasypani, że nie mogliśmy nawet otworzyć drzwi. Aby mama mogła wyjść rano, to najpierw miejscowi musieli nas odkopać. Kolejnym problemem był brak ciepłych rzeczy. Ponieważ deportowano nas w lecie a na spakowanie nas, mama miała raptem dwadzieścia minut to w tej panice brała co było pod ręką. Nie myślała o zimie. Niektóre z rzeczy, które mieliśmy były zupełnie abstrakcyjne, choć potem okazało się że bardzo nam pomogły. Mama miała na przykład garnitur ojca i jego kawalerski kożuszek. Ten kubrak to praktycznie mnie przez cały czas zesłania chronił od mrozów. Był taki brązowo-ceglany, z dobrze wyprawionej baraniej skóry. Był krótki, więc mnie małemu dziecku sięgał do kostek. Przewiązałem go sznurkiem w pasie i chronił mnie zarówno od wiatrów jak i mrozów. Mama nie miała tego szczęścia. Idąc do pracy zakładała na siebie wszystko co tylko miała. Potem udało jej się gdzieś kupić jakąś mocno zniszczoną kufajkę. Bo kufajka i watowane spodnie to była podstawa

przeżycia w tamtych warunkach. Były też problemy z obuwiem. Od wiosny do jesieni biegałem na boso. Co nosiłem w pierwszym roku zimą – nie pamiętam. Pamiętam, że w późniejszych latach owijałem nogi szmatami, fragmentami starych kufajek i obwiązywałem rzemykami. Niestety nie mieliśmy pieniędzy, żeby zaopatrzyć się w to co niezbędne na zimę. Zresztą posiadanie pieniędzy i tak nie rozwiązałoby problemu, bo nie było żadnego sklepu, w którym można by kupić jakąś odzież. Były jakieś towary na bazarze, ale ich ceny były horrendalne. Były to najczęściej towary domowej produkcji, lub jakieś rzeczy kradzione czy też z przemytu. Mama pracując otrzymywała tylko niewielkie sumy pieniędzy. Większość zapłaty za pracę dostawało się w produktach. Dostawaliśmy mąkę, kartofle, proso ale to były bardzo niewystarczające ilości. Naszymi nieszczęściami były chłód, głód i brud. Mydło było absolutnie niedostępne. Tłuszczu praktycznie nie było, więc nawet domowym sposobem nie można było niczego przygotować.

W kołchozie zajmowano się głównie hodowlą owiec. Trochę było bydła i na własne potrzeby dodatkowo hodowano parę sztuk świń. Zupełnie nie pamiętam, abym gdziekolwiek tam widział jakąś kurę czy gęś. Nasze wyżywienie było bardzo ubogie. Podstawą były ziemniaki i czarny chleb. Ale ponieważ zazwyczaj i tych produktów brakowało to ciągle byliśmy bardzo głodni. Te trochę mąki co mama dostawała, to był dodatek do zup gotowanych dla brata. Czyli taka woda z mąką. Coś temu małemu dziecku trzeba było dać, a nic innego nie było. Do dziś zadaje sobie pytanie, jakim cudem on w tamtych warunkach przeżył? I niestety racjonalnej odpowiedzi nie znajduję. Co nas w Mochowie uratowało od głodowej śmierci? Mamy kolorowe sukienki. Mieszkańcy kołchozu ubierali się w waciaki a latem w jakieś uszyte z byle jakiego płótna szare rzeczy. Na tym tle te kilka zabranych przez mamę kolorowych sukienek to był zupełnie inny świat. Zatem w sytuacjach zupełnie beznadziejnych mama kolejno sprzedawała lub wymieniała na coś do jedzenia sukienkę po sukience. Najwięcej jednak zyskaliśmy na przywiezionym przez mamę z pozoru atrakcyjnym w naszych warunkach – garniturze ojca. Miejscowi

absolutnie szaleli na punkcie rzeczy czarnych. Garnitur ojca był czarny, a przez to podwójnie cenny. Najpierw chyba przejedliśmy spodnie a potem marynarkę. A może odwrotnie. Kolejność nie ma tu znaczenia. Dla nas liczyło się tylko to, że mogliśmy każdą z tych rzeczy zamienić w coś do jedzenia. Raz chyba było to pół worka mąki a raz wiadro ziemniaków. Bez tej wymiany oraz tego co udało mi się ukraść, tego pierwszego roku byśmy nigdy nie przeżyli. Potem, kiedy skończyły się nam towary na wymianę zaczął się prawdziwy koszmar. Przeżycie w tamtych warunkach o czym mówią wszyscy, którzy przeżyli to piekło, zależało m.in. od tego ile udało się zabrać ze sobą rzeczy w chwili deportacji oraz od umiejętności błyskawicznego przystosowania do nowych warunków i zaradności. Rzeczy mieliśmy nie wiele ale dzięki nim ten pierwszy rok jakoś przeżyliśmy. Głodowaliśmy, ale nie umarliśmy z głodu. Mieliśmy też czas na oswojenie się z nowymi warunkami i naukę przetrwania, czyli na początek podpatrywania jak żyją Rosjanie i co robią żeby przetrwać. Te obserwacje i zdobyta czasami tylko z półsłówek czy rozmów z dzieciakami wiedza, okazała się w przyszłości bardzo przydatna, kiedy nasze przeżycie uzależnione było głównie od mojej zaradności. Choć byłem dzieckiem, to stałem się niezwykle zaradnym chłopcem i może to brzmi nieskromnie, ale fakt że przeżyliśmy pozostałe lata a przede wszystkim, że udało się uratować małego braciszka to praktycznie była moja zasługa. Mama musiała od świtu do nocy pracować. Pracowała nawet w większość niedziel. Nie miała więc żadnych możliwości zdobycia dodatkowego pożywienia. To co zarabiała i otrzymywała w produktach, nawet przy wydzielaniu głodowych racji starczało nam chyba na jakieś dwa tygodnie. W tej sytuacji wszystko zależało ode mnie i od mojej pomysłowości. A i tak były okresy, że cierpieliśmy straszny głód.

W najtrudniejszej sytuacji były osoby starsze oraz z rodzin inteligenckich, nie nawykłych do pracy. Oni zupełnie nie potrafili odnaleźć się w nowej sytuacji. Wielu z nich nie potrafiło nawet rozpałić ognia w piecu i przygotować czegokolwiek do jedzenia. Najłatwiej było osobom z konkretnymi zawodami oraz osobom

przywykłym do pracy na roli. Kolejnymi czynnikami mającymi znaczenie to była umiejętność życia w grupie, wewnętrzna chęć niesienia pomocy innym i otwartość na innych. Najgorszą cechą było wynoszenie się ponad innych.

Życie w kołchozie toczyło się swoim rytmem. Miejscowi organizowali nawet jakieś zabawy i uroczystości związane ze świętami, jak choćby w rocznicę Rewolucji Październikowej. Kołchoz miał główny plac. Na głównym placu było radio z zewnętrznym megafonem, przez który nadawano w ciągu dnia komunikaty. Wokół tego głównego placu rozrzucone były drewniane domy kołchozników. Niektóre były wolno stojące. Były też jak pamiętam takie większe jak gdyby czworaki. One były zbudowane z bali drewnianych. Na obrzeżach były ziemianki a w pewnym oddaleniu obory i pomieszczenia gospodarcze kołchozu. Za nimi gdzieś tam rozciągały się kołchozowe pola. Musiały być znacznie oddalone, bo jak mama wyjeżdżała na sianokosy to nie było jej czasami dwa dni. Wnioskuje więc, że były na tyle daleko iż nie opłacało się późno w noc zwozić pracowników i rano o świcie znów ich zawozić. Było lato, więc spali pod gołym niebem.

Dzieci w Mochowie praktycznie wychowywały się same. Na miejscu nie było żadnego żłobka, ani przedszkola. Rodzice pracowali po kilkanaście godzin a dzieci zostawały pod opieką dziadków. W praktyce jednak całe gromady dzieci od świtu do nocy wałęsały się między budynkami i po głównym placu. Nikt się nimi nie zajmował. Nie pamiętam swoich zabaw z miejscowymi dziećmi, ale musiałem mieć z nimi kontakty bo bardzo szybko nauczyłem mówić się po rosyjsku. Byłem już osłuchany, bo rodziców odwiedzali różni ludzie i często w domu rozmawiano po białorusku, a języki wbrew pozorom są bardzo podobne. Ponieważ mama znała bardzo dobrze białoruski, to też nie miała problemów z przejściem na rosyjski. Ze mną jednak rozmawiała po polsku, więc moim jedynym kontaktem były miejscowe dzieci.

Jest jeszcze jedna rzecz, która wryła mi się w pamięć w trakcie pobytu w Mochowie. Były to wierchołki Gór Sajańskich, które w słońcu świeciły tak, jakby były ze złota. One miały w zewnątrz-

nej warstwie dużo miki i to ona tak odbijała się w słońcu. To był niesamowity widok. Czasami miało się wrażenie że te góry płoną. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz zobaczyłem ten widok to onie- miałem. Potem za każdym razem robił na mnie wrażenie.

Nadchodzą Zmiany

Kiedy dowieziono nas do Abakanu a jeszcze przed wysłaniem do kołchozu Mochow, mama musiała podpisać dokument, że przez dwadzieścia lat nie opuści tego miejsca. Uczyniła to z dużymi oporami. Wyklócała się z enkawudzistami, krzyczała na nich, rzucała papierami. Skapitulowała dopiero i podpisała, kiedy powiedziano jej, że jak nie podpisze to dostanie dziesięć lat obozu zamkniętego, a nas wezmą do tamtejszego Domu Dziecka. Nie mniej na odchodne odszczeknęła się, że i tak wróci wcześniej do Polski. Wówczas policjant zapytał ją, czy widzi własne uszy? I stwierdził, że tak samo zobaczy Polskę jak teraz swoje uszy. Mama jednak upierała się przy swoim, że wróci do Polski i z pewnością nie spędzimy tu dwudziestu lat. Minął rok strasznego życia w kołchozie i okazało się, że tamto podpisane przez mamę pismo przestało być ważne.

30 lipca 1941 zostało zawarte porozumienie między ZSRR a rządem polskim na uchodźstwie, przewidujące m.in. przywrócenie stosunków dyplomatycznych, utworzenie na terenie ZSRR Armii Polskiej i (na podstawie oddzielnego protokołu) i „amnestię dla Polaków uwięzionych i przebywających na zesłaniu”. Amnestię ogłoszono Dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 12 sierpnia 1941. Tego samego dnia została przyjęta tajna uchwała RKL ZSRR i KC WKP(b), formułująca główne zasady przeprowadzania amnestii i określająca kategorie amnestionowanych. Podstawę uchwały stanowił projekt, który powstał w pierwszych dniach sierpnia 1941. Zwalniani obywatele polscy mieli prawo „swobodnego zamieszkiwania na terytorium ZSRR, z wyjątkiem strefy granicznej, stref zakazanych, terenów, na których ogłoszono stan wojenny i miast pierwszej i drugiej kategorii, objętych spe-

cialnymi przepisami pobytu”. Organa NKWD musiały wystawić zwalnianym tymczasowy dowód tożsamości — udostowierzenie (zaświadczenie), które po zarejestrowaniu w ambasadzie polskiej i otrzymaniu polskich dokumentów należało zamienić na kartę stałego pobytu dla cudzoziemców.

To jednak była teoria. Praktyka wyglądała nieco inaczej. Dokąd mieliśmy się udać? Mama i dwójka dzieci? W tym jedno mające nieco ponad rok? Wrócić pociągiem? Za co? Jak przeżyć z dziećmi miesiąc w drodze bez pieniędzy? To było nierealne. Nie pamiętam, żebym słyszał o przypadku, że któraś z rodzin wywiezionych za Ural, wyjechała po ogłoszeniu amnestii. Marzeniem mamy było wyrwanie nas na początek z tego kołchozu i dotarcie do większego skupiska Polaków. Jak się wówczas okazało to z tych dwóch rodzin, które przywieziono razem z nami przed rokiem do Mochowa, jednej już nie było a druga była niekompletna. Pani Żymetro, która dotarła z trójką dzieci pozostała już tylko z jednym. Dwójka młodszych dzieci, podobnie jak ta trzecia rodzina, zmarły z głodu. Tylko nam udało się jakimś cudem przetrwać w komplecie ten pierwszy rok. Cud tym większy, że to my mieliśmy tak małe dziecko.

Kierunek Lesozawod

Jak tylko okazało się, że możemy się przemieszczać, to mama rozpoczęła działania umożliwiające wyrwanie nas z mochowskiego piekła. Najbliższym, dużym skupiskiem Polaków był oddalony o kilkanaście a może i kilkadziesiąt km, położony pomiędzy Jenisem a rzeką Abakan–Lesozawod. Aby do niego dotrzeć, należało przeprowić się na drugą stronę gór. Przejście tej trasy pieszo z dziećmi, było praktycznie niewykonalne. Nie wiem, jak to mama załatwiła, czy sprzedała jeszcze coś z odzieży czy dała wszystko to co udało jej się w ostatnich miesiącach zarobić, czy znalazła coś w rzeczach pani Żymetro co nadawało się na handel, ale załatwiła jakiś samochód. Opuszczaliśmy Mochow. Razem z nami wyjeżdżała także pani Żymetro z córką. Jechaliśmy do posesji Lesozawod.

Lesozawod był dużą, liczącą około trzech tysięcy mieszkańców osadą. Żyło tam też, co dla nas miało znaczenie, bardzo wielu deportowanych Polaków. Budynki na terenie osady były bardzo rozrzucone. Większość z nich była parterowa, choć sporo też było piętrowych baraków. Wszystkie budynki miały strome dachy. Ulokowano nas w jednym z takich baraków. Nasz nowy adres był: ulica Karła–Marksa dom numer pięć. Barak był wieloklatkowcem. Dokwaterowano nas do rodzin, które już tam mieszkaly. Była już tam pani Komorowska z czwórką dzieci. Dwójka z nich Józef i Marian to byli moi koledzy. Ponadto była tam pani Jaworska też dwójką dzieci. Pani Jaworska była Żydówką, która wyszła za mąż za bogatego polskiego ziemianina. Była z córką i z trochę w naszej ocenie, opóźnionym w rozwoju synem. Potem do baraku trafiła jeszcze pani Subocz z trzema synami i córką Lusią. Najstarszy z synów pani Subocz był o kilka lat od nas starszy i był dla nas, przedwcześnie dojrzałych ale ciągle jeszcze dzieci takim

starszym bratem. Nie mieliśmy ojców, zatem nie miał kto się za nami wstawić, kto nas obronić. On podjął się wypełnić tę lukę i bardzo często bronił nas przed rosyjskimi wyrostkami, którzy zupełnie bez powodu nas zaczepiali i bardzo często bili. Dlatego też, kiedy później zgłosił się do wojska Kościuszkowców i wyjechał, bardzo nam go brakowało. Razem z nami w baraku, mieszkała także pani Żymetro z córką i pani Miksza z dwoma synami i dwiema córkami. Jeden z synów – Marian, będący moim kolegą zginął po paru miesiącach pobity przez strażników. Złapali go na kradzieży ziemniaka i tak pobili, że odbili mu nerki i płuca. Żył jeszcze przez jakiś czas ale nie mógł już chodzić. Przesiadywał tylko przed budynkiem na schodach. Chodząc z chłopakami na kradzieże staraliśmy się coś zorganizować również dla niego i zawsze mu coś przynosiłem. Po kilku miesiącach Marian zmarł. Wkrótce po nim w 1942 roku, zmarła jego mama czyli pani Mikszo. Pozostała dwójka dzieci trafiła do Domu Dziecka. Jeden z nich osiemnastolatek wcześniej miał to szczęście udać się do armii Andersa. Ponadto w baraku mieszkali jeszcze Pietkiewiczowie. Pani Pietkiewicz miała córkę Alfredę i syna z Mariana którym bardzo się zaprzyjaźniłem i ta przyjaźń trwa do dziś. Ponadto była jeszcze pani Wołczkova z synem Bolesławem, z którym też się zaprzyjaźniłem. W tym baraku mieszkał także mój serdeczny kolega Edek Kleszczyk z siostrą Władką i rodzicami. To było nasze najbliższe otoczenie. My mieszkaliśmy na pierwszym piętrze. Na każdej kondygnacji to znaczy na parterze i piętrze znajdował się taki większy podest, który był otwartą kuchnią. W tej kuchni stał piec do pieczenia chleba i płyta kuchenna do gotowania. Korzystaliśmy z tych urządzeń na zmianę. Mieliśmy tak mało do jedzenia, tak nie wiele do gotowania, iż mimo kilku rodzin żadnego tłoku w kuchni nie było. Z tej kuchni jedne drzwi prowadziły do mieszkania na wprost a jedne do mieszkania po prawej stronie. Mieszkanie boczne było dwuizbowe a to na wprost jednoizbowe. W mieszkaniu dwuizbowym pierwszy z pokoi był przechodni. W nim stał piec do ogrzewania. Był tak wmontowany w ścianę, że paliło się w pierwszym pokoju a ogrzewał oba. Paradoks polegał

na tym, że w piecach można było tylko i wyłącznie palić drewnem, a drewna u nas nie było. Tajga oddalona była o około 100–150 km. Nieopodal natomiast był Czernogorsk a na jego terenie kopalnia węgla. Tylko my z tym węglem nie mieliśmy co zrobić.

Swoją historię miał też barak numer trzy. W trakcie naszego pobytu przywieziono całą grupę mieszkańców z autonomicznego obwodu Kałmuckiego i osiedlono w tym baraku.

W 1943 roku Stalin zlikwidował przylegającą do Morza Kaspijskiego, Kałmucką ASRR a jej mieszkańców deportowano na Syberię i do Kazachstanu. Powodem był fakt iż w czasie kiedy żołnierze Wermachtu zajęli w 1942 roku część Kałmucji to rozpoczęli formowanie kałmuckiej jednostki wojskowej. Był to Abwehtruppe 103, którego zadaniem było patrolowanie i ochrona linii komunikacyjnych, magazynów wojskowych i instalacji militarnych. Abwehtruppe podlegał dowództwu 6 armii. Równolegle przy 16 Zmotoryzowanej Dywizji Piechoty zaczęto tworzyć kałmuckie szwadrony kawalerii tworzące formację Kalmüken Verband Dr. Doll. Niemcy traktowali ich jak sojuszniczą formację. Korpus miał dużą autonomię a oficerami i podoficerami byli Kałmucy. Ocenia się, że w Korpusie Kawalerii Kałmuckiej znalazło się około pięciu tysięcy Kałmuków, co stanowiło około osiem procent mężczyzn zdolnych do służby wojskowej. W przyszłości korpus wślawił się licznymi okrucieństwami w trakcie antypartyzanckich akcji pacyfikacyjnych zarówno na terenie ZSRR a potem także na ziemiach polskich. Na terenie Generalnego Gubernatorstwa korpus uczestniczył m.in. w pacyfikacji wsi w Lasach Janowskich i Puszczy Solskiej.

Kałmucy ciekawili nas ze względu na swój azjatycki wygląd. Mieli płaskie twarze i nosy oraz skośne oczy. Jeszcze bardziej jednak nasze zainteresowanie wzbudzało to co ze sobą przywieźli. Otóż odkryliśmy z Edkiem że mają w szopce uprząże na wielbłądy oraz różne urządzenia do połowu ryb. Najważniejsza była jednak uprząż bo tam były bezcenne dla nas rzemienie. Rzemienie były nam potrzebne do przewiązywania w pasie za dużych zdobycznych ciuchów, do obwiązywania katanek czyli wojłokowego

obuwia zimowego, do przywiązywania łyżew do nóg do przywiązywania siatek na kradzieże itp. Rzemienie w tamtych warunkach to była rzecz absolutnie niezbędna i bezcenna. Któregoś razu zakradliśmy się z Edkiem do szopy, w przechowywali tą uprzęż i poodcinaliśmy im trochę rzemyków. Patrząc z punktu przyszłościowego to nie miało to dla nich chyba żadnego znaczenia, bo nigdy już z tych uprzęży nie skorzystali. Długo też w baraku pod trójką nie pomieszkali. Przywieziono ich chyba jesienią a następnego roku wiosną nie było już żadnego z nich. Wszyscy zmarli z głodu. Potem, jak te baraki uprzątnięto z pozostałych w nich ciał, to zakwaterowano w nich ledwo żywych z głodu leningradczyków zwiezionych tu po wielkim oblężeniu Leningradu. Najpierw zakwaterowano ich w sali kino–teatru i tam leczono i podkarmiano. Tych, którzy jakoś doszli do siebie skierowano później do baraku pod trójkę. Część zmarła a Ci co nabrali trochę sił wyjechali na własną rękę. Myślę, że wrócili do Leningradu.

Życie w Lesozawodzie

Żeby przeżyć, trzeba było się dostosować i poznać tajniki przycięcia w tych warunkach. Ponadto trzeba było nauczyć się pozyskiwać i wykorzystywać wszystko, co tylko było w zasięgu rąk. Drewno z tajgi pozyskiwaliśmy od innych łagrowników usytuowanych po drugiej stronie rzeki Abakan. Nasi rodacy, wycinali to drewno, wrzucali do Abakanu i płynęło do nas. U nas były specjalnie pobudowane konstrukcje z lin metalowych, aby drewna nie popłynęły do Jeniseju a potem dalej do Morza Arktycznego. Były wyłapywane i transportowane do tartaku. My –dzieci czekaliśmy na to drewno. Często pływałem na tych pniach aż do tartaku. Nie było to oczywiście bezpieczne, bo gdyby taki pień się oddzielił i popłynął do Jeniseju, to już nikt by mnie nie uratował. Ryzykowałem niejednokrotnie, ale miałem powód. Tym powodem była żywica zwana tam sierą. Ta żywica była bogata w różne mikroelementy, których tak nam tam brakowało, dlatego staraliśmy się pozyskać ją za wszelką cenę. Potem żuliśmy ją. Kto miał sierę, ten mógł jakiś czas przeżyć nawet na tym kiepskim jedzeniu. To był bardzo ważny składnik naszego wyżywienia. Nigdzie indziej nie można było jej pozyskać. Drewno było korowane, ale czasami niedokładnie i jeszcze gdzieś przy sękach można było coś znaleźć i wyciąć sobie. Byliśmy na taką okoliczność przygotowani, mieliśmy specjalne własnej roboty nożyki. Nie wiele tego znajdowaliśmy, bo byliśmy już drudzy w kolejce. Każda jednak drobina była w cenie. To było nasze zbawienie. Ja do dziś mam swoje zęby. Myślę, że zawdzięczam to sierze. Pierwsi sierę pozyskiwali łagrownicy, którzy ścinali drewno i spławiali je do nas. Potem pozyskiwaliśmy je my a na końcu Ci, co pracowali w tartaku. Na Syberii o każdą rzecz trzeba było walczyć. Jak się chciało przeżyć

to trzeba było wyzbyć się niektórych skrupułów. Przede wszystkim należało nauczyć się kraść. Podstawowa zasada przeżycia mówiła Kto nie worujet, tođ padochniet. Na Syberii kradli wszyscy. Widziałem naszych rodaków, którzy umierali z głodu bo nie potrafili nic ukraść. Moja mama pracowała w tartaku. Mogła więc ukraść tylko trochę drewna i szczapy. One też były bardzo ważne, bo służyły na rozpałkę oraz do oświetlenia. Ponieważ prąd był rzadko więc żeby wieczorem mieć choć trochę światła to paliliśmy szczapy. One musiały być bardzo smoliste, aby paliły się wolno a tym samym dłużej dawały nam światło. Ta odrobina światła była ważna w trakcie trwającej sześć miesięcy syberyjskiej zimy, kiedy to bardzo szybko padały ciemności.

Na Syberii każdy drobiazg był ważny. Ale trzeba było o tym wiedzieć. Wiele zawdzięczaliśmy kontaktom z Rosjanami, umiejętności ich obserwacji oraz temu, że mama dobrze mówiła po rosyjsku i potrafiła z ludźmi rozmawiać. Była lubiana więc koleżanki w pracy często przekazywały jej cenne informacje. Cały czas jej mówiły, że jak chce z dziećmi przetrwać to musi sama o siebie i o nas zadbać, bo nikt jej nie pomoże. Jak też miałem zdolność łatwego nawiązywania kontaktów. Miałem tam takiego miejscowego kolegę Rosjanina, który przekazał mi wiele bardzo cennych informacji i nauczył mnie kraść. To on uczył mnie, że na początku nigdy nie mogę iść na kradzież sam. Musimy iść zawsze w kilka osób i jedna z nich musi stać na warcie czyli jak mawiał na wasarie i cały czas czujnie pilnować czy nikt nie idzie. To miało ogromne znaczenie, bo gdyby ktoś nas przyłapał to groziła nam śmierć. Na Syberii wszyscy chcieli przeżyć więc kradzieże to była codzienność. Trzeba więc było wykazać się niecodziennym sprytem. Mój kolega mi cały czas tłumaczył, że oni też kradną, bo choć im jest już trochę łatwiej bo mają domy i ogródki warzywne, to jednak głód zagląda im tak samo często w oczy jak nam, bo rodziny są większe. Żeby zatem przeżyć też kradną. Może trudno w to uwierzyć, ale żeby oszukać głód to żuliśmy lepik czyli smołę. Odrywało się gdzieś kawałki od dachów i się żuło. W Lesozawodzie podobnie jak w Mochowie, nam repatriantom nadal nie

wolno było uprawiać ogródka warzywnego, ani też mieć jakiegokolwiek szopki czyli miejsca na przechowywanie żywności czy rzeczy osobistych. Wszystko co mieliśmy musieliśmy przechowywać pod siennikiem, bo w pokoju były trzy rodziny. Nie każdy posiadał nawet własne łóżko. Wszystkiego trzeba było pilnować nawet przed swoimi. Niektórzy byli mniej zaradni, nie potrafili niczego na zewnątrz ukraść to okradali własnych współlokatorów. Pamiętam, że kiedyś mama przehandlowała jakąś rzecz za woreczek mąki. Taki woreczek pozwalał nam przeżyć jakieś 2–3 miesiące bo mąkę dawkowaliśmy tylko po odrobinie do zaciągnięcia zup na wodzie. Dodawało się tylko tyle, żeby była odrobinę zawieszona. Któregoś dnia mama była jak zwykle w pracy a ja musiałem wyjść z pokoju na chwilę, żeby coś załatwić. Jak wróciłem to zamiast woreczka, było tylko kilka łyżek mąki na dzień. To była dla nas ogromna rozpacz i prawdziwa tragedia. Okradziono nas bez skrępowań nie patrząc na dwoje małych dzieci. Ogromnym problemem było przechowywanie czegokolwiek wartościowszego. Trzeba było wszystkiego pilnować, ale czasami trudno było być jednocześnie w kilku miejscach. Potem, z takimi dwoma kolegami umawialiśmy się na zmianę i zawsze jak coś mieliśmy, to któryś pilnował tego naszego małego dobytku. Rzadko kiedy mieliśmy coś na zapas. Na ogół wszystko co się załatwiało, to zużywaliśmy na bieżąco. Czasami tylko jak się udało zamienić jakiś towar na żywność czyli mąkę lub ziemniaki, bo to najczęściej było przedmiotem wymian, to mieliśmy trochę zapasu i trzeba było tych dóbr pilnować jak największego skarbu. Czasami od paru ziemniaków czy łyżki mąki zależało nasze życie.

Przez 6 lat pobytu na Syberii tylko raz spróbowałem mięso. Była to ukradzioną przez przyjaciela mamy koleżanki – gęś. Przez ten czas udało mi się może dwa a może trzy razy kupić łeb barani. W sklepie, w którym wydawano nam chleb na kartki czasami pojawiała się dodatkowo coś do jedzenia. Od czasu do czasu można tam było kupić flaki lub lekko cuchnącą głowę baranią. Do dziś pamiętam to uczucie dumy i radości, które mnie rozpiekało, kiedy targałem do domu ten powiedzmy sobie szczerze śmierdzący

już barani łeb. Jaka to była radość. Co myśmy z tej głowy nie gotowali. Każdy kawałeczek był skrupulatnie wykorzystany. Cuchnące flaki udało mi się zdobyć więcej razy. One tak strasznie śmierdziały przy gotowaniu, że ten zapach mi towarzyszył jeszcze długo po opuszczeniu Syberii. Pierwszy raz flaki w Polsce odważyłem się spróbować w latach siedemdziesiątych a więc po około trzydziestu latach.

Po podpisaniu między Stalinem a rządem na uchodźstwie traktatu, na terenie Związku Radzieckiego zaczęła się formować armia generała Andersa. Wśród przebywających na zesłaniu Polaków była ogłoszona powszechna mobilizacja. Każdy kto miał szesnaście lat mógł się zgłosić. Wielu podawało się za starszych, niż było w rzeczywistości byle tylko być przyjętym. Jak ja żałowałem, że nie jestem starszy. Jak bardzo chciałem być przyjętym. Miałem raptem siedem lat. Nic nie wiedziałem o wojnie ale chciałem przede wszystkim wyrwać się z tego głodu i brudu. Tym bardziej, że starsi koledzy Polacy, którzy dotąd wprowadzali mnie w trudne realia życia na zesłaniu, uczyli jak przetrwać i bardzo często opiekowali się nami i chronili nas przed pobiciem przez wyrostków rosyjskich, wyruszali do Armii Andersa. Wyruszali a my zostawaliśmy. Byłem dodatkowo zrozpaczony. Rosjanie bili nas za wszystko. Za to że byliśmy Polakami, za to że wchodziliśmy im w paradę w poszukiwaniu jedzenia a czasami też bez żadnej przyczyny, za to tylko że byliśmy. A mnie, bo byłem pyskаты, dobrze znałem rosyjski a do tego byłem bystry i potrafiłem coś zorganizować a czasami nawet im sprzątnąć sprzed nosa – to już szczególnie nie lubili i często sprawiali mi lanie. Obecność starszych kolegów bardzo mnie i innym dzieciakom pomagała. Nie raz wyrywali nas z rąk naszych prześladowców. A teraz wyjeżdżali. My z mamą też mogliśmy, dotrzeć do formującego się polskiego wojska, bo Armia Andersa zabierała ze sobą także rodziny wojskowych. Ale jak mama miała z nami tam się dostać. Nie mieliśmy pieniędzy na bilety ani na jedzenie. To byłoby samobójstwem. Musieliśmy więc zostać i trwać w naszym głodzie, chłódzie i brudzie. Nie wiem co było dla mnie gorsze. Głód czy brud. Myślę jednak, że

to drugie. Z głodem nauczyłem się żyć. Z brudem nie potrafiłem. Choć mama bardzo o nas dbała, to jednak nie było szans na wyzbycie się wszy. One zjadały nas żywcem. Pierwszą czynnością po przebudzeniu jaką robiliśmy to było wyjście na wyiskanie się. Polegało to na tym, że brało się dwa kamienie i tłukło nimi całą odzież, bo one chowały się w zakamarkach szwów. Ale to na wiele się nie zdawało, bo wszy były wszędzie. Gdzie się nie poszło to one były i każdy przenosił je z miejsca na miejsce. Nie pomagał fakt, że głowy mieliśmy ogolone na łyso, że raz na miesiąc była organizowana łaźnia, gdzie po kąpieli od razu oddawaliśmy rzeczy do dezynfekcji. Nie wiem, albo te dezynfekcje były do niczego albo te wszy były tak zahartowane, że nie chciały ginąć. Dodatkowo baraki były strasznie zapluskwione. To wszystko wywoływało wśród nas liczne choroby. Były m.in. epidemie tyfusu i malarii. Nam udało się przed tyfusem ustrzec, ale kilkakrotnie zapadaliśmy na malarię. To też było niebezpieczne.

Na naszym terenie mieszkała jedna lekarka, gdzieś z okolic Leningradu. Mama mając małe dzieci nawiązała z nią dobre relacje, jak otrzymała z darów jakąś odzież, która tej lekarce mogła się przydać, to od czasu do czasu coś jej podrzucała, licząc że kiedy któreś z nas zachoruje to lekarka też jej pomoże. Ta lekarka niezależnie od otrzymywanych darów bardzo polubiła naszą mamę. Bardzo jej współczuła a przy tym to był chyba bardzo dobry człowiek. Kiedy więc zapadliśmy na malarię zdobyła dla nas jedyne dostępne lekarstwo, czyli chininę. Potem organizowała ją dla nas przy każdym nawrocie choroby. A z tego co wiem, to o chininę nie było łatwo. Ponadto, jak widziała że mama ze zmęczenia pada, że już nie daje rady, wypisywała mamie zwolnienie na jeden dzień, żeby mogła choć trochę odespać i zregenerować trochę siły w śnie. Samowolne opuszczenie jednego dnia pracy, lub trzy spóźnienia, to natychmiast był sąd i wyrok skazujący na łagier. Nam w takim przypadku groził Dom Dziecka. Czegoś takiego jak urlopy nie było. Otrzymanie jednego dnia wolnego też praktycznie nie wchodziło w rachubę. Pracowało się na okrągło po 10–12 godzin. Więc taki jeden dzień raz na kilka miesięcy to było prawdziwe

zbawienie. Dla mnie ratunkiem było też przedostanie się od czasu do czasu do mamy do pracy do stołówki, gdzie dostawała w ciągu dnia talerz czy miskę cienkiej zupy. Czasem jednak zdarzało się, że jakiś ziemniak tam pływał. Więc jak udało mi się przedostać do tartaku i niezauważalnie dotrzeć do mamy do stołówki, to ratowała mnie kilkoma łyżkami tej zupy i na przykład kawałkiem ziemniaka. To już było dla mnie coś. Może trudno w to dziś uwierzyć, ale kilka łyżek cieniutkiej zupki i jeden kęs ziemniaka na dzień to już traktowaliśmy jak posiłek bo czasami i tego nie było a nadchodziły właśnie ciężkie czasy.

W roku 1941 przyszła straszna zima. Do tego front przesunął się w głąb Związku Radzieckiego. Władze ograniczyły maksymalnie żywność. Chleb dochodził niezwykle rzadko. Na polach nie było nic. W naszym baraku na parterze mieszkała Rosjanka. Miała ogródek, z którego zresztą od czasu do czasu też coś podkładałem. Ponadto miała na podwórzu szopki, w których hodowała chyba prosiaka ale co najważniejsze miała krowę, która dawała jej trochę mleka. Jak na tamte warunki, miała więc bardzo dużo. To była starsza osoba. Mówiliśmy na nią babuszka. Któregoś dnia siedzieliśmy z bratem. Było nam potwornie zimno. Dawno nic nie jedliśmy. Byliśmy spuchnięci od głodu i całkowicie apatyczni. To był moment takiego prawdziwego załamania. Chyba pierwszego i ostatniego na Syberii. W tamtym momencie naprawdę nie miałem już sił walczyć z otaczającą mnie beznadzieją. Miałem przecież tylko nieco ponad siedem lat a brat niecałe dwa. To był taki krytyczny moment. Nie mieliśmy nic na wymianę, nic do sprzedania. Był potworny mróz. Pokoju nie było czym ogrzać a do jedzenia nic nie mogliśmy znaleźć. Życie przygważdżało mnie do ściany a ja nie miałem pomysłu jak się od niej odbić. Babuszka przywazyła nas siedzących. Zorientowała co się u nas dzieje i przez następne parę dni zaczęła nam podrzucać po pół szklani mleka a czasami do tego mleka dokładała jeszcze coś do zjedzenia. To na nowo wlało we mnie nadzieję. Zaczęły mi wracać chęci do życia. Pamiętam, że któregoś dnia zebrałem się w sobie i poszedłem stanąć w kolejce po chleb. Wcześniej byłem na to zbyt słaby.

Dzięki babuszce znów stanąłem na nogach. Tego roku bardzo wiele osób w Leszawodzie zmarło. Wielu zmarzło, ale też bardzo dużo Polaków zmarło z głodu. To była potworna zima. Nam udało się jakoś ją przeżyć. Najpierw w krytycznym momencie uratowała nas babuszka, potem znów chodziłem na kradzieże a i mamie udało się coś wymienić ze starych zapasów na żywność i tak ten okrutny czas przetrzymaliśmy

W 1942 roku, nasza sytuacja na bardzo krótko tak się zmieniła, że mogliśmy nawet trochę zregenerować nadwątlone siły. Przychodziło bardzo dużo darów z zewnątrz i nam dzieciom zorganizowano taką małą stołówkę, gdzie prowadzono dożywianie. Codziennie była jakaś zupa. Mogłem zatem choć trochę odechnąć. Niestety trwało to tylko dwa, może trzy miesiące. Kiedy ujawniono sprawę morderstw katyńskich i kiedy Armia Andersa opuściła Związek Radziecki, musieliśmy zapomnieć o odwilży i jak na tamte warunki i naszą sytuację o tak zwanym dobrobycie.

Nim jednak to nastąpiło, to część z nas wykorzystała ten okres na zorganizowanie klasy szkolnej. W jednym z baraków przygotowaliśmy salę, do której chodziliśmy wszyscy, bez względu na wiek. Na miejscu znaleźli się polscy nauczyciele. Nasza nauczycielka nazywała się Gajdanowicz. Odczuwaliśmy potrzebę kształcenia się. Wiedzieliśmy, że bez względu na to jak długo tu pozostaniemy, musimy się czegoś nauczyć. Jak jednak uczyć się pisać czy czytać, skoro nie było ani książek ani papieru. Problem z papierem był nie tylko naszym problemem. On występował wszędzie, nawet w urzędach. Ja mam urzędowe dokumenty pisane między wersami gazety. Papier był w tamtym czasie towarem absolutnie nieosiągalnym. Radziliśmy sobie w ten sposób, że mieliśmy wystrugane deseczki a jako ołówki służyły nam jakieś węgielki lub ostre rysiki. Do tego mieliśmy kawałki szkiełka. Kiedy pisaliśmy węgielkiem to potem to ścieraliśmy a kiedy rysikiem, to cały zapis zeszkrobaliśmy szkiełkiem i znów pisaliśmy na nowo. Mieliśmy jedną książkę pod tytułem „Nasze czytanki”. Były w niej jak pamiętam wiersze Marii Konopnickiej. Ta nauka trwała około trzy miesiące, może trochę więcej. Skończyła się, kiedy nie pamiętam z jakiego

to powodu zabrano nam nasze lokum. Myślę, że przyczyną było zerwanie stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a ZSRR. Te parę miesięcy nauki to była cała moja edukacja syberyjska. Przez 6 lat nie skończyłem żadnej klasy. Była na miejscu szkoła rosyjska, ale nikt nas nie zachęcał, żeby do niej chodzić a sami nie bardzo się garnęliśmy, bo nastawienie miejscowych dzieciaków nie było przychylne dla nas. O byle co nas byli więc jakoś nie pałaliśmy do kontaktów z nimi. Czytać po rosyjsku nauczyłem się z afiszy, czytać po polsku z dwóch czy trzech bajek, które ktoś przemycił i krążyły wśród Polaków. Mój kolega twierdzi, że pamięta, iż w ramach tej krótkiej edukacji w polskiej szkole nasza nauczycielka pokazywała nam wydaną przez Rosjan książeczkę dotyczącą Katynia i obarczającą za ten mord Niemców. Ja tego nie pamiętam.

Pamiętam natomiast, że jeszcze w trakcie odwilży zanim armia generała Andersa wyszła ze Związku Radzieckiego to w 1942 roku, pozwolono nam na zorganizowanie imprezy artystycznej. W Lesozawodzie był kinoteatr z dużą salą widowiskową. Nie pamiętam z jakiej to było okazji, ale mieliśmy polski wieczór. Okazało się, że niektórzy z Polaków przywieźli ze sobą różne stroje regionalne. Niektóre dzieci miały na sobie krakowskie serdaki. Były dziecięce występy, były tańce i śpiewy patriotyczne. Nie brałem udziału bo nie miałem żadnego stroju, ale byłem na widowini. To był niezapomniany wieczór. Jeden jedyny taki w trakcie całego pobytu.

Wszystko diametralnie zmieniło się jesienią 1942. Armia Andersa wyszła ze Związku Radzieckiego i nam się pogorszyło. Zmniejszono nam racje żywnościowe. Chleb przychodził rzadko. Nadchodził straszny czas. W tym czasie mama mojego kolegi, z którym chodziłem na kradzież pracowała przy przechowywaniu warzyw w specjalnych ziemniakach. Od czasu do czasu ratowała nas jakimś ziemniakiem czy marchwią. Warzywa można było kupić tylko na bazarach, gdzie był wolny rynek. Ale ceny były okrutne. Wiaderko, do którego wchodziło około sześciu kilogramów ziemniaków kosztowało 300 rubli a mama zarabiała

miesięcznie od 190 do 290 rubli. Pozostałe warzywa były jeszcze droższe. Nie było więc nas stać na ich kupno.

W Lesozawodzie był tartak a poza nim na samym końcu osady, pod górką do której dochodził tory kolejowe i gdzie znajdowała się stacja był zbudowany sacharny zakład, czyli cukrownia. W cukrowni nie było żadnych urządzeń do produkcji cukru. Wytwarzano tu tylko melasę. W trakcie całego pobytu zdarzyło się raz czy dwa, że dostaliśmy przydział na trochę melasy. To było prawdziwe święto. My, dzieciaki to byśmy się pozabijali o tą melasę, bo to była jedyna słodycz, która była tam dostępna. Cukru przecież nie było. O cukierkach nikt nie słyszał.

Przy drodze dojazdowej do tartaku był sad. Jego powierzchnia wynosiła około półtora hektara. Sad był własnością Kombinatoru. Na jego terenie rosły jabłonie i krzewy porzeczek. Były to prawdopodobnie stworzone przez prof. Miczurina odmiany, odporne na syberyjskie mrozy. Pomimo panujących temperatur dochodzących do minus pięćdziesięciu a czasami i minus pięćdziesięciu pięciu stopni Celsjusza, jabłonie nie przemarzały i każdego roku obsypywały się jabłkami. Jabłka miały wielkość piłeczki pingpongowej i nazywano je ranietkami. Te małe jabłuszka były obiektem takiego pożądanego z naszej strony, że przez wszystkie lata pobytu w Lesozawodzie począwszy od końcówki lata aż do jesieni toczyliśmy prawdziwe boje choćby o jedno jabłuszko. Mamy posyłały nam specjalne koszule wiązane w pasie, żebyśmy mieli gdzie te jabłka wrzucać. W ciągu dnia i nocy atakowaliśmy ten sad z różnych stron i na różne sposoby. I nie tylko nasza grupa. Na okazję dostania się do jabłek czatowały chmary wyrostków. A nie było to proste zadanie. Po pierwsze, sad pilnowany był przez uzbrojonych strażników, którzy na początku strzelali do nas solą i śrutem. Kiedy to nas nie odstraszyło to zaczęli używać ostrej amunicji. Po drugie, sad otoczony był wysokim, zbudowanym z płyt żelbetowych, wykończonych drutem kolczastym – płotem. Obmyślaliśmy różne sposoby wtargnięcia na teren sadu. Rozcinaliśmy drut kolczasty, robiliśmy podkopki pod płotem, przeskakiwaliśmy przez płot z pleców kolegi, którego potem wciągaliśmy

na drugą stronę, bezszelestnie podciągaliśmy się po płytach. Raz staraliśmy przedostać się bezszelestnie innym razem atakowaliśmy płot z wrzaskiem. Bywało też, że jedna grupa pozorowała atak i skupiała na sobie uwagę strażników a inna po cichu dostawała się do środka i kradła jabłka. Kiedy już udało nam dostać się do środka to liczyła się każda sekunda. Nie było czasu na zrywanie jabłek. Ściągaliśmy je razem z liśćmi z gałęzi prosto za koszulę, która jak już wspominałem była ścignięta w pasie. Jabłka przenoszone za koszulą ułatwiały nam ucieczkę, bo mieliśmy wolne ręce. To wszystko było ważne, bo od szybkości, sprytu i wręcz cwaniactwa zależało nasze życie. Strażnicy gonili nas nie tylko na terenie sadu, ale też organizowali obławy na nas już po pokonaniu płotu. Jeśli udało nam się umknąć na bezpieczną odległość to chroniliśmy się w naszym baraku, bo sad był blisko naszego miejsca zamieszkania. Droga przy której się znajdował przebiegała równoległe do ulicy Karola Marksa, przy której mieszkaliśmy. Jeśli jednak byliśmy w zasięgu ich wzroku to czmychaliśmy dalej i ukrywaliśmy się z dala od miejsca zamieszkania, aby nie nakierowywać ich na nasz barak. Przez cały czas ryzykowaliśmy bardzo. Na szczęście nikomu z naszej grupy poza siniakami, skaleczeniami, otarciami i zwichnięciami, nikomu nic się nie stało. Nie wszyscy jednak mieli tyle szczęścia. Zdarzały się złamania nóg, rąk a nawet postrzały. Generalnie można powiedzieć, że w bitwach o raniетки byliśmy mimo wszystko lepsi od strażników.

Naszym codziennym zajęciem była walka o przetrwanie czyli walka z głodem. Jedliśmy wszystko. Na wiosnę jedliśmy owoce olchy, potem czeremchy i kaliny. Ponieważ nieopodal nas płynęły rzeczki więc było trochę drzew. Dalej był step na którym praktycznie nie rośło już nic. Czasami można było spotkać dziki czosnek. Któregoś razu, kiedy byliśmy strasznie głodni a nic do jedzenia nie mogliśmy znaleźć, postanowiliśmy dostać się do czosnkowych cebulek. Niestety rosły bardzo głęboko i nie mieliśmy czym się do nich dokopać. Skończyło się na zjedzeniu naziemnych łodyg.

Płynące przez okolicę rzeczki, nieopodal nas tworzyły taką

wysepkę. Jak poziom wód był wysoki to na wysepkę dopływaliśmy drewnianym promem przeciąganym na linie, jak był niższy to udawaliśmy się wpław lub płynęliśmy. Na wysepce u brzegu rzeczek rosła lebioda. Też kończyła w naszych żołądkach. Specjalne miejsce w naszym menu zajmował wiosną szczaw. Nadawał się na zupy a także ponieważ rosło go dużo to był jeszcze towarem na sprzedaż. Każdy z nas miał worek na plecy. Zresztą worek i motyka to były atrybuty każdego dzieciaka z naszej paczki. Płynęliśmy lub brodziliśmy po wodzie, docieraliśmy do wysepki i zbieraliśmy szczaw do worków. Kiedy już worek był napełniony wracało się do domu, płukało szczaw, przebierało i wiązało w takie małe pęczki. Następnego dnia wstawało się bardzo wcześnie żeby zdążyć na pociąg, który rankiem odchodził od nas do Czernogorska. Oczywiście zabieraliśmy się na gapę. Na bilet przecież nikt nie miał pieniędzy. Z Czernogorska pociąg wracał późnym wieczorem, prawie już w nocy, więc często nie czekaliśmy już tak długo, tylko wracaliśmy w ciągu dnia pieszo. Do Czernogorska jeździliśmy sprzedać nasz szczaw. Nie zawsze się to udawało, ale czasami tak. Wówczas od razu starałem się kupić coś do jedzenia. O chlebie nie było mowy, bo był za drogi. Ale pamiętam że nie raz przywiozłem kawałek ryby. Czernogorsk to było miasteczko górnicze i oni w deputatach poza chlebem dostawali ryby i dlatego czasami za pieniądze zdobyte ze sprzedaży szczawiu udawało mi się kupić kawałek ryby. To było prawdziwe święto. Wracało się z Czernogorska, następnego dnia szło się na szczaw a kolejnego znów jechało do Czernogorska. I tak na zmianę, przez cały wiosenny sezon, dopóki był szczaw. W trakcie jednej z wypraw na szczaw nagle załamała się pogoda. W pewnym momencie zaczął padać deszcz. Zamiast uciekać, schroniłem się pod drzewem aby go przeczekać. Kiedy już się przejaśniło wziąłem mój worek ze szczawiem i zacząłem wracać. Tymczasem woda w rzece niebezpiecznie się podniosła. Próbowałem przejść, ale było za głęboko. Zacząłem płynąć a woda zaczęła mnie znosić wzdłuż nurtu. Zgubiłem worek a sam z trudem dopłynąłem do brzegu i to znacznie dalej. Te syberyjskie rzeczki po każdym deszczu zamie-

niały się w rwące niebezpieczne rzeki i trzeba było bardzo uważać. Tym razem mi się udało. Przepadł tylko worek ze szczawiem.

Pomoc z Zewnątrz

W 1941 roku po podpisaniu traktatu między Stalinem a rządem Polskim na uchodźstwie nasz status bardzo się zmienił. Mogliśmy się przemieszczać, tworzyć polskie organizacje. Nie zmieniało to jednak faktu, że nadal umieraliśmy z głodu i zimna. Sytuacja uległa niewielkiej poprawie praktycznie tylko dzięki generałowi Sikorskiemu, który zawiadomił świat o Polakach przebywających w okrutnych warunkach w głębi Rosji. Ocenia się, że samych deportowanych Polaków było w Rosji około półtora miliona. Generał Sikorski podpisując pakt ze Stalinem od razu zaznaczył, że jednym z warunków jest ochrona cywilnej ludności polskiej wywiezionej w głąb Rosji. Wymógł zapis, że jeśli rząd polski na uchodźstwie będzie mógł Polakom pomóc, to ta pomoc będzie do nich docierać. No i zaczęło się. Z całego świata zaczęły napływać paczki. Była to jak my mówiliśmy – pomoc amerykańska. Potem włączyli się Hindusi, Pakistańczycy, Australijczycy i inni. Później zaczął interesować się nami Czerwony Krzyż. Każda miejscowość, każdy pasionek wybierał swojego męża zaufania i on nawiązywał kontakt z Rosjanami przez których te dary przechodziły, a potem organizował rozdawnictwo na naszym terenie. To nie była jakaś wielka pomoc, ale w tamtych warunkach liczyła się nawet sucha skórka chleba. Tu dostawaliśmy od czasu do czasu jakąś puszkę rybną, niekiedy trochę cukru, czasami trochę kaszki, jakieś mleko w proszku. Zdarzały się też buty i jakaś odzież. Każda rzecz była dla nas cenna, bo każda mogła być zamieniona na żywność. Dary wydawano w specjalnej salce przez małe okienko. Nikt z nas nie widział co jest za tym okienkiem i ile jest darów. Bardzo szybko doszło do konfliktu, bo okazało się, że osoby zaprzyjaźnione z rozdającymi dostawały dużo wartościowych rzeczy. W jakiś

czas po awanturach związanych z niesprawiedliwym podziałem darów, z przeznaczaniem lepszych rzeczy dla znajomych, każdy z nas każdorazowo otrzymał swój numer. Osoby rozdające dary tych numerów nie znały. One z kolei, każdej rzeczy do wydania przypisywały kolejny numer. Potem wyczytywano te numery, a my podchodziliśmy i odbieraliśmy to co nam losowo przypa-
dło. Jednego razu, kiedy wywołano nasz numer podszedłem do okienka i zobaczyłem, że dla mnie jest jakaś duża w porównaniu z innymi paczka. Do tego ona nie chciała zmieścić się w tym okienku. Musiałem po nią zgłosić się do pokoju z okienkiem. Odebrałem pakunek i jak na skrzydłach pobiegłem do domu. W domu rozwinęliśmy zawiniątko. Zobaczyliśmy czarny materiał, coraz więcej czarnego materiału. Kiedy już rozpakowaliśmy całość i mama wzięła to do ręki, to okazało się że jest to czarna sutanna księdza i do tego bardzo ogromnego księdza. Ta czarna sutanna to był ogromny dar niebios. Mama przez najbliższe dni dokładnie ją pruć a potem z pomocą koleżanki uszyła z niej chyba kilkanaście spódniczek. Wspominałem już, że kolor czarny dla Rosjan był kolorem prima sort i wszystko co czarne miało ogromne wzięcie. Uszycie więc spódniczek i wymiana ich na żywność, mogły podreperować naszą sytuację. I tak się stało.

Mama razem z naszą sąsiadką panią Pietkiewicz wyprosiły w zakładzie pracy dwa dni wolnego. Była zima a one musiały dotrzeć na bazar w kołchozie. Miały do pokonania ponad trzydziestu kilometrów. Dodatkowo dyrektor dał im wóz i konia, zresztą jedyne w tej miejscowości. Jakoś dojechały tym wozem, choć po drodze widziały całe hordy wilków. Bały się ale jakoś bez szwanku udało im się na bazar dotrzeć. Na bazarze zrobiły świetny interes. Sprzedały tych kilka spódniczek, które zabrały, resztę zostawiając na kolejny czarny czas, kupiły jakieś ziemniaki, mąkę, nawet chyba trochę łożu baraniego. Nie mogły zabrać i sprzedać wszystkich, bo nie mieliśmy gdzie składować i pilnować żywności. Łatwiej było upilnować kilka spódniczek niż żywność. W drodze powrotnej mama z panią Pietkiewicz przeżyły horror. Otóż zmęczona i wychudzona od głodu szkapka odmówiła

dalszej współpracy. Stanęła w miejscu i nie chciała iść dalej. Kobiety wzięły z sobą jakąś wiązkę siana, ale to było za mało na regenerację zużytych drogą sił. Nie mogły czekać aż szkapina dojdzie do siebie, bo okoliczne stada głodnych wilków tylko czekały na takie okazje. Trzeba było iść i to jak najszybciej. Przede wszystkim jednak nie mogły pozwolić aby szkapą padła po drodze, bo to groziło śmiercią lub w najlepszym przypadku zamkniętym obozem pracy. To byłoby sprzeniewierzenie mienia państwowego a za to groziła najwyższa kara. Co zrobiły, ostatnie kilometry do domu, szły po bokach i ciągnęły opierającego się konia. Jakoś przeżył tą eskapadę i im też nic się nie stało. Myślę, że ta sutanna przerobiona na spódniczki czyli żywność pozyskana z tej wymiany pozwoliła nam spokojnie przeżyć rok. Ta sutanna była bezcenna. W 1943 roku kiedy zostały zerwane stosunki dyplomatyczne, kiedy zlikwidowana została także polska ambasada to automatycznie ucięte zostały napływy darów. Dla nas w tamtej chwili i tamtym miejscu te dary były najważniejsze. Choć były niewielkie to właśnie one niejednokrotnie ratowały nas przed śmiercią głodową. Nie mówię tu o takim darze jak nasza sutanna bo to był jednostkowy przypadek, ale te drobne puszek czy trochę kaszy lub czegoś innego stawiały nas na jakiś czas na nogi. Nie wiadomo co by z nami się stało, gdyby świat się o nas nie dowiedział. Dlatego nasz hymn narodowy śpiewaliśmy zmieniając słowa. Zamiast Dąbrowski, śpiewaliśmy Sikorski.

Dary wróciły ponownie ale dopiero chyba w 1944 roku. To już było za sprawą Związku Patriotów Polskich – organizacji utworzonej przez Wandę Wasilewską i współpracownika Stalina–Zygmunta Berlinga. Oni chcieli aby do ZPP zapisali się wszyscy, ale w zamian nic nam nie oferowali. W którymś więc momencie zorientowali się, że muszą coś dla nas zrobić i tym czymś było ponowne uruchomienie darów. Ponieważ nie mieliśmy już w Związku Sowieckim swojej ambasady to w kontaktach z innymi państwami reprezentowała nas ambasada Australii. To m.in. przez placówkę australijską przechodziły dostarczane nam ze świata paczki z różnymi dobrami. Przechodziły formalnie

przez placówkę, ale de facto trafiały do mężów zaufania a oni zajmowali się dalszym rozdawnictwem. Z tymi darami to była dziwna sprawa. Dziś jak na to spojrzę z dystansu to myślę, że nie pomyłę się w stwierdzeniu, że do nas trafiało nie więcej niż dziesięć procent. Byliśmy ostatnim ogniwem, które dostawało to, czego nikt już nie chciał. A i tak nawet te resztki ze stołu nie jednemu uratowały życie. Jak zatem wyglądałoby nasze życie gdybyśmy dostali wszystko to, co było dla nas przeznaczone? Lepiej nie odpowiadać na to pytanie bo odpowiedź jest zbyt bolesna. Jedno jest pewne. Gdyby wszystkie dary dotarły do nas to z pewnością te setki tysięcy zmarłych z głodu zesłańców a niekiedy całych rodzin, nie musiałyby zostać na stałe w syberyjskiej nieżyczliwej ziemi. Dlaczego śmiem twierdzić, że aż tyle darów znikало po drodze. Najpierw jeszcze w Moskwie była awantura o ich nieuczciwy podział. Próbowano to naprawić wybierając w każdej miejscowości męża zaufania. To on reprezentował nas i nasze interesy przed radzieckimi władzami. On też zajmował się organizacją darów. Wprowadzono numerację przy rozdawaniu darów, ale i to nie zapobiegło kradzieży i machlojkom. Wiele osób miało do niego pretensje już wcześniej, że z każdym miesiącem ilość darów się zmniejszała. Ile zostawiał dla siebie mąż zaufania mieliśmy okazję przekonać się w Lesozawodzie w 1946 roku. Naszym mężem zaufania był Józef Olszewski, liczący sobie wówczas około 50–60 lat. Była z nim dwójka dzieci. Dobiegająca lat trzydziestu – córka i około czternastoletni syn. Czy była żona też? Tego nie pamiętam. Olszewski, wkrótce potem jak został mężem zaufania to przeprowadził się do bloku położonego w części osady zamieszkałej przez greckich przedstawicieli nowej fabryki. A to musiało kosztować ogromne pieniądze. Skądś trzeba je było mieć. Ponadto kiedy wojna się skończyła i mogliśmy wracać to cały nasz dobytek to było to, co mieliśmy na sobie a tymczasem zgromadzone przez niego dobra w trakcie zsyłki trudno było załadować na ogromnym samochodzie. Jak to możliwe? Kiedy było już wiadomo, że będziemy wracać, Olszewski postanowił przenieść się z Lesozawoda do Abakanu. Uznał, że w jego

sytuacji, lepiej razem z nami nie wyjeżdżać. W Abakanie, gdzie było wiadomo że będą dosiadać się inni, łatwiej było zginać już w tłumie. Na przeprowadzkę wybrał przedpołudnie, kiedy wszyscy byli w pracy. Ale my dzieci byliśmy czujni. Szybko dotarła do nas wiadomość, że po cichu się ewakuuje. Zbiegliśmy się więc pod jego domem i zaczęliśmy mu przeszkadzać. Kładliśmy się przed samochodem, rzucaliśmy kamieniami w okna samochodu. Natychmiast wezwano mnóstwo milicji i funkcjonariuszy NKWD, którzy nas rozpędzili a ta szuja z tymi ukradzionymi dobrami eskortowana przez milicjantów wyjechała samochodami do Abakanu. To też kosztowało. Nikt za darmo by go nie eskortował. Kiedy opuszczaliśmy Syberię i wracaliśmy do Polski, to on nie wracał z nami bydłecymi wagonami. Z tego co nasi sąsiedzi widzieli, to wynajął sobie osobne wagony i wracał tymi wagonami wypakowanymi po brzegi różnymi dobrami. Po wojnie mama i mieszkający jeszcze inni w Gryficach Sybiracy, próbowali do niego dotrzeć i rozliczyć go z tego co zrobił. Niestety, mimo iż wysiadł w okolicach Choszczna czy Stargardu Szczecińskiego, to nie udało się go odszukać. Jeśli więc w takim małym Leszawodzie mógł nakraść aż tyle, to ile ukradli ci w większych skupiskach jak Czernogorsk, Abakan, Minusińsk nie mówiąc już o Krasnojarsku, gdzie tych mężów zaufania było wielu. Chciałbym wierzyć, że to był tylko jednostkowy przypadek, ale chyba niestety nie. Jakże to było przykre, szczególnie w obliczu śmierci tylu niewinnych ludzi. To oni, nasi rodacy tak samo byli odpowiedzialni za głód cierpienia i śmierć tysięcy Polaków. To ich zachłanność i chciwość zabrała niewinnym dzieciom rodziców, mężom żony, żonom mężów, rodzicom dzieci.

Sztuka Przetrwania

Nie pamiętam, jak zaczęła się przyjaźń z rosyjskim chłopakiem. Ja miałem lat siedem on może był trochę starszy. Ile? Nie mam pojęcia. Kto by wtedy pytał o wiek. Nawet nie pamiętam, jak miał na imię. W przeciwieństwie do innych rosyjskich chłopaków, nie tylko mnie nie bił ale udzielał ważnych, wręcz bezcennych wskazówek. To on nauczył mnie bezczelności, to pod jego opieką zdobywałem pierwsze szlify w złodziejskim fachu. Jego bezcenne rady nie raz później mnie i moim kolegom pozwoliły uniknąć w najlepszym przypadku poważnych kłopotów. Wprowadzanie mnie w tajniki przetrwania na Syberii zaczął od zdania, że jak chce przeżyć to muszę nauczyć się kraść. „Kto nie kradnie, ten zdechnie”, przypominał przy każdym spotkaniu. Jak się szybko okazało, miał rację. Gdyby nie moje złodziejskie wyprawy, spryt i bezczelność prawdopodobnie byśmy nie przeżyli, a już na pewno nie przeżył by pobytu na Syberii mój półroczny brat Romek. Dzieci w tym wieku, stamtąd nie wracały. Traktując poważnie rady kolegi kraść zacząłem bardzo szybko. Miałem w tych działaniach poważnego sojusznika a mianowicie głód. Dodatkowym bodźcem był płacz głodnego Romka. Nie było wyboru. Kto nie kradnie ten zdechnie słyszałem słowa kolegi, kiedy kieszki grały mi marsza albo w oczach robiło się ciemno z głodu. Bardzo szybko z małego, radosnego, jeszcze niedawno beztrudnie żyjącego chłopca stałem się dojrzałym, odpowiedzialnym za życie mamy, brata i swoje – chłopakiem. Szybko w złodziejstwo wciągnąłem moich kolegów, bo zgodnie z radami mojego rosyjskiego mentora w wielu przypadkach należało działać zespołowo. Jedni nadawali się lepiej inni mniej. Po jakimś czasie z różnym skutkiem kradliśmy już wszyscy. Byliśmy prawdziwą bandą dzieci ulicy. Ważny był

spryt, refleks i odwaga. W naszej grupie należałem do najsprytniejszych, często więc to ja organizowałem wspólne wypad. W zależności co planowałem, zabierałem jednego lub więcej kolegów. Bywało też, że każdy z nas samodzielnie wyszukiwał różne okazje i korzystał z nich sam. Ja na przykład każdy dzień zaczynałem od obchodu miejsc, gdzie mogło trafić się coś do jedzenia. Nie była to stała lista miejsc. Zależała od pory roku i zmieniających się warunków nawet na froncie. Któreś zimy w naszej miejscowości szkolono żołnierzy dywizji syberyjskiej. Wojsko miało swoją kuchnię. Zacząłem więc prowadzić obserwację, żeby dowiedzieć się gdzie i o której wyrzucają obierki z warzyw a potem resztki z obiadów na przykład kości. Każdą zdobytą kość potrafiłem rozbić na miazgę i wyjść z niej wszystko ze środka. Tak więc kilka razy udało mi się zdobyć z tej kuchni jakieś resztki. Było to jednak niebezpieczne bo kuchnia była także pod obserwacją rosyjskich chłopaków, którzy też cierpieli z głodu. Pewnego razu, kiedy pojawiłem się w okolicach kuchni, oni już tam byli. Natychmiast rzucili się na mnie. Byli gotowi mnie zabić. Gdybym nie uciekł, to nie wiem jakby to się skończyło. Trzeba więc było szukać pożywienia gdzie indziej. Bardzo często chodziliśmy na tak zwane przekopki czyli na pola i zbieraliśmy z nich wszystko to, czego nie zebrano jesienią.

Zbiory na polach odbywały się na akord. Akord liczony był od powierzchni a nie od ilości tego co się zebrało. A zatem tempo było ogromne a praca niedokładna. Często więc można było tam coś znaleźć. Jesienią już prowadziliśmy obserwacje terenu, żeby wiedzieć co na którym polu uprawiano i na co możemy liczyć. Kiedy robotnicy schodzili z pól to my zaczynaliśmy polowania. Nie było to takie proste, bo pól po zebraniu plonów też pilnowano. Pilnowali ich strażnicy na koniach i z długimi dragami. Jedno uderzenie mogło zabić. To czego nie zebrano mogło zgnieć, ale nam nie wolno było się do pól zbliżyć. Człowiek w tamtych czasach nie miał ceny. Ludzi było pod dostatkiem, więc umierającymi z głodu nikt się nie przejmował. Dlatego te nasze złodziejskie wypadki obciążone były dużym ryzykiem. Czasami jednak udawało nam

się wejść i coś znaleźć. I tak całą jesień gromadziliśmy co się dało. Chodziliśmy też zbierać kłosy. Przy ścięciach często jakieś opadały, więc chodziliśmy je zbierać. Każdy z nas miał worek i czołgaliśmy się po polach wyszukując kłosik po kłosiku. Ile raz nas dopadnięto. Ileż to razy zabrano mi worek z tymi z takim trudem zebranymi kłosikami, ileż to razy dostałem nahajem po grzbiecie. Aż trudno policzyć. Ale i tak chodziliśmy dalej. Potem wycwaniliśmy się i chodziliśmy nocą, bo była mniejsza obsada strażników. Ale noc musiała być jasna, bo jak szukać po omacku kłosików czy ziemniaków w ziemi? Zebrane kłoski, łuskaliśmy sami i potem rozgniataliśmy je kamieniami. Z czasem jeden z Polaków skonstruował takie proste żarna i na tych żarnach mieliliśmy u niego nasze ziarenka na mąkę. To były malutkie ilości, ale dla nas mające ogromne znaczenie.

Naszą determinację, wolę przetrwania i walki a także pokazania naszym oprawcom, że mimo wszystkich przeciwności losu przetrwamy był napisany przez nas – mieszkańców Lesozawoda lokalny hymn.

*Abakan my nie zdadзим
Padkuniu stolicu
Czeriez Mochow pieredziom
Sabirać pszenicu
Ty Mamasza nie grusti
Maja daragaja
Kak przenicy nabierom
Nakarmłu radnaja*

Hymn śpiewaliśmy dla dodania sobie otuchy, odwagi i woli przetrwania. Jednocześnie szydziliśmy z władzy, oświadczając że się jej nie boimy i będziemy nadal kraść, bo to jest jedyny sposób aby utrzymać się przy życiu a tym samym przetrwać.

Jak bardzo byliśmy zdesperowani może świadczyć fakt, że na poszukiwania zamrożonych ziemniaków chodziliśmy zimą przy temperaturze minus 30 stopni. Jak było zimniej to już nie

możliśmy, bo zamarzaliśmy w drodze. Przy minus trzydziestu dawaliśmy jeszcze radę. Ale jak przy takiej temperaturze kopać w ziemi? To było nie lada wyzwanie. Jak się komuś udało choć jeden ziemniak wykopać, to już było warto. Zmarznięte miały słodki smak, ale to nie miało znaczenia. W trakcie tych wypraw nabawialiśmy się licznych odmrożeń. Zasada była prosta. Wszyscy obserwowaliśmy, czy nie ma strażników a jednocześnie obserwowaliśmy siebie nawzajem. Jeśli komuś robił się biały nos czy policzek to natychmiast się informowaliśmy. Taki osobnik musiał szybko wziąć śnieg i mocno nim pocierać odmrożone miejsce. Trzeba było tak długo trzeć, aż robiło się znów czerwone, co oznaczało, że wróciło krążenie. No i wracało się do pracy. Chwytało się nieodłączny atrybut każdego dziecka, czyli motykę i kopało się dalej. Ziemniaki łatwo się poznawało, bo zamrożone były białe. Odgarniało się więc kilka metrów śniegu i szukało. Czego nie znaleźliśmy zimą, szukaliśmy wiosną. Wtedy jednak były już brązowe, często zgniłe i strasznie śmierdziały. Ale i takie zbieraliśmy i zjadaliśmy. Piekliśmy je w ognisku. Po buraki chodziliśmy nawet dziesięć kilometrów. Mieliśmy takie małe saneczki z dykty, którymi przywoziliśmy je do domu. Żeby była jasność, to nie były duże ilości. Święto było jak udało się znaleźć dwa czy trzy buraki. Byliśmy jednak zbyt słabi, żeby po całym dniu szukania, nieść je dziesięć kilometrów. Dlatego mama zrobiła mi takie sanki i dla nas trzech na przykład one wystarczały. W 1941 zima przyszła wcześniej. Była okrutna, do tego chleba nie dowożono i nasze zapasy szybko się skończyły. To był dla nas straszny okres. Zimowe wypadki po żywność obarczone były jeszcze dodatkowym ryzykiem. Zdarzało się że ludzie wychodzili i łapał ich po drodze Buran, tracili orientację i niestety zamarzali na śmierć.

Penetrując okolice, czasami odległe nawet o kilka kilometrów, znaleźliśmy pola należące do Łagru Rolnego. Uprawiali je mieszkający w tym łagrze więźniowie. Wiedzieliśmy, że tam sadzone są warzywa czyli to, czego nam tak bardzo brakowało. Te pola były pilnowane nie przez takie osoby jak na przykład nasza mama, co zdarzało się w Leszawodzie, ale przez strażników z bronią.

Wzdłuż pól były wieżyczki a w nich mieli swoje stanowiska strażnicy. Oczywiście najpierw leżąc w rowie obserwowaliśmy teren i zwyczaje strażników. Sprawdzaliśmy jak często jest obchód, jak długo trwa i co robią potem. Kiedy już to wszystko wiedzieliśmy to odczekiwaliśmy chwilę po obchodzie, kiedy znużeni przysną i wkraczaliśmy na pole.

Najgorzej było kraść marchew. Bo jak było sucho to ona była mocno wrośnięta i pociągnięcie za natkę nic nie dawało. Natka się urywała a korzeń i tak zostawał w ziemi. Wykopywać jej nie mieliśmy czym a ponadto nie było czasu. Na pole trzeba było wpaść zabrać co można i uciekać. Równie trudno było wyrwać kapustę, ale udało nam się opracować świetny sposób na jej kradzież. Należało szybko wbiec na pole i z rozpędu kopnąć piętą w główkę. Wówczas ona odpadała. Wbiegało się więc, kopało w jedną, drugą, trzecią..., zbierało i czmychało do rowu a potem szybko z łupem do domu. Marchew najlepiej zbierało się, kiedy była już wykopana i leżała na przyzmach, obsypanych lekko ziemią. Oczywiście nie obywało się bez różnych, czasami nawet dramatycznych przygód. Któregoś razu poszliśmy we czwórkę. Z kolegą z którym tworzyliśmy zgraną parę, zabraliśmy dwóch nowicjuszy. Byli to fajni chłopcy ale mniej niż my zaradni. Jednym z nich był syn ziemianina i żydówki, którzy też byli w naszym obozie. On został skierowany na wywóz a ona z dzieckiem przyjechała tu za nim. Mieli tego jednego syna. Chłopak był trochę chyba opóźniony w rozwoju. Chciał jednak z nami iść to go wzięliśmy. Ponieważ, to czekanie w rowie aż obchody się skończą trwało długo, to nasi nowicjusze zasnęli. W pewnym momencie zauważyliśmy, że prosto do rowu gdzie leżą zmierza strażnik. Zamarliśmy. Baliśmy się, żeby w tym momencie się nie obudzili i nie zaczęli nagle gadać lub nas nawoływać. Ust nie mogliśmy im zatkać, bo dopiero narobiliby rwetesu. Zamarliśmy więc i czekaliśmy co się wydarzy. Na szczęście oni spali dalej a przechodzący obok rowu strażnik nie zauważył dwóch skulonych w rowie postaci.

Innym razem poszliśmy na marchew złożoną w przyzmach. Kradzież poszła sprawnie. Szybko zapakowaliśmy marchew do

worków i w nogi. Biegliśmy w stronę domu. Nie spodziewaliśmy się, że za nami podąża strażnik z bronią. Zauważyliśmy go dopiero po jakimś czasie. Zrobiło się niebezpiecznie. W którymś momencie chciał któregoś z nas złapać. Wyciągnął rękę i już chwycił za worek. W tym momencie kolega puścił worek a strażnik stracił równowagę i się przewrócił. Ja porzuciłem także swój worek i w nogi. Każdy z nas zaczął uciekać w inną stronę. Kiedy strażnik się pozbierał to zaczął do nas strzelać. Biegliśmy więc i chronią się przed kulami padaliśmy na ziemię. Tak uciekaliśmy, że nie rozpoznaliśmy mamy, która wyszła nam naprzeciw zaniepokojona, że długo nas nie ma. Myśleliśmy, że to kolejny strażnik i że otaczają nas. Uciekliśmy zupełnie niepotrzebnie daleko za tory. Po jakimś czasie wróciliśmy i tak na to pole. A tak na marginesie to z naszej strony było potworną bezczelnością chodzić kraść do pilnowanego przez strażników więziennego obozu. No niestety nie mieliśmy wyjścia. Musieliśmy zdobyć skądś trochę warzyw. Zresztą takich sytuacji, kiedy nas goniono było mnóstwo. Czasami też któryś ze strażników strzelał w powietrze, żeby nas nastraszyć. Nigdy jednak nie zdarzało się, żeby ktokolwiek strzelał do nas tak, żeby nas zabić a w tym wypadku dokładnie o to chodziło.

Ponieważ był już to czas, kiedy mężczyzn zaczynało brakować, bo byli potrzebni na frontach to w charakterze na przykład strażników pól zaczynało zatrudniać mężczyzn sprawnych fizycznie, ale nie koniecznie umysłowo. Zdarzali się więc różni dewianci. Normalni strażnicy pilnujący pól nie mieli broni, ale mieli takie długie i grube dragi. Były to niebezpieczne narzędzia. Często zdarzało się że idąc pieszo z Czernogorska wzdłuż torów, nurkowałem raz po jednej stronie drogi, raz po drugiej i podbierałem z tych pól a to ziemniaka a to marchewkę a to niekiedy buraczka. Podchodziłem na czworaka, lub czołgałem się i szybciutko podbierałem po jednej, dwóch sztukach. Często mnie goniono. Te gonitwy strażaków to była prawie normalność. Oni pilnowali, my kradliśmy, oni nas gonili a my staraliśmy się nie dać złapać. Robiliśmy wszystko, żeby nie dać się złapać i opracowywaliśmy różne strategie. Ale czasami bywało różnie. Pewnego dnia wracałem

pieszo z kolejnej wyprawy handlowej do Czernogorska. Jak zwykle szedłem drogą wzdłuż torów i jak zwykle przyglądałem się polom wypatrując, gdzie by zanurkować po jakieś warzywo. W którymś momencie pochyliłem się chyba po ziemniaka i niestety strażnik z drągiem mnie zauważył. Było to wysokie ogromne chłopisko. Zaczął mnie gonić. Był ogromny wiec uciekałem ile sił w nogach, choć tych sił miałem mało. Przystawałem, żeby odpocząć, on też się męczył bo to było wielkie chłopisko, więc też przystawał i odpoczywał. Za chwilę zaczynał gonić mnie dalej. Gonił mnie aż na nasze osiedle czyli około osiem kilometrów. Żeby go zmylić uciekłem w rejon, gdzie mieszkali Rosjanie i zaszyłem się w którymś z ich ogródków. Przesiedziałem tam jeszcze jakiś czas. Wreszcie wyszedłem. Mojego niedoszłego oprawcy też już nie było.

Innym doświadczeniem były kradzieże na naszym miejscowym rynku w Lesozawodzie. Kołchoźnicy przyjeżdżali ze swoimi dobrami i sprzedawali różne produkty lub wymieniali na odzież czy buty, których im też brakowało. Mieli za to różne produkty żywnościowe. Rynek zwany bazarem to było jedyne miejsce, poza chałupniczo wytwarzaną odzieżą, tudzież artykułami konsumpcyjnymi z przemytu czy kradzieży, można było kupić mąkę, kaszę, groch, kartofle, buraki, turnips czyli długą białą rzodkiew a także melony, dynie, arbuzy, mleko, tłuszcze czy pestki z dyni lub ze słonecznika. Niestety większość z tych artykułów była dla nas niedostępna, bo to wszystko kosztowało ogromne pieniądze. Dlatego staraliśmy się wejść w posiadanie czegokolwiek bez płacenia. W tych warunkach nawet kradzież jednego kartofla była sukcesem. Miałem trzech kolegów też takich sprytnych i oblatanych. To byli Józek Komorowski i Edek Kleszczyk i Marian Pietkiewicz. Bardzo często chodziliśmy kraść razem. Jak się kradło w dzień, to trzeba było mieć oczy wokół głowy i bardzo zaufane osoby wokół. Inaczej mogło zdarzyć się nieszczęście. Jak i co kradliśmy? Kradliśmy na przykład arbuzy. Ale to robiliśmy w większej grupie. Arbuzy w Rosji kupuje się obstukując i słuchając ich dźwięku. Powinien mieć ładne brzmienie. Podchodziliśmy i stukaliśmy. Najpierw

jeden stukał, potem arbuz trafiał do kolejnej osoby, potem znów kolejnej, itd. W tym czasie pierwszy z naszej grupy odwracał uwagę sprzedawcy i brał następnego i obstukiwał a ostatni z grupy związał do worka tego pierwszego arbuza, który przeszedł już przez kilka rąk. Nie było to proste ale kilka razy udało nam się takiego arbuza ukraść. Pestki dyni czy słonecznika kradliśmy na tak zwany rękaw. Trzeba było mieć na sobie coś z szerokimi i sztywnymi rękawami. Ponieważ nasiona były prażone i różni kołchoźnicy różnie je prażyli więc się próbowało. Zatem jak się kładło rękę do worka żeby wziąć na próbę jedną pestkę to trzeba było tak umiejętnie włożyć, żeby przy wyciąganiu jak najwięcej pestek zostało w rękawie. Na bazarze zaopatrywaliśmy się także w różne przedmioty. Koniom kradliśmy włosy z ogonów a potem te włosy skręcaliśmy, wiązaliśmy i mieliśmy sznurki do wędek. Kiedy kołchoźnicy przyjeżdżali późną jesienią lub zimą to konie miały już cięższą uprząż. Szczególnie kiedy ciągnęły sanie to tych rzemieni było więcej. A rzemyki i sznurki to był bardzo poszukiwany przez nas towar. Czymś musieliśmy wiązać zdobyczne za duże kurtki, czymś musieliśmy obwiązywać nakładane na nogi kawałki starych kufajek. Walonki były bardzo drogie i nie stać nas było na nie. Owijało się nogi różnymi szmatami, ale trzeba to było jakoś obwiązać. Zatem, gdzie było można tam kołchoźnikom skracaliśmy ich rzemyki, lub odcinaliśmy całe.

Na bazarze był jeszcze jeden produkt, dla nas niezwykle cenny, a mianowicie przywożone z tajgi orzeszki cedrowe zwane po rosyjsku kiebra. To, że były smaczne nie było dla nas aż tak ważne jak to, że zawierały mnóstwo witamin i podstawowych minerałów a wśród nich żelazo, potas, jod, magnez, cynk oraz bardzo dużo tłuszczu. I to dla nas było niezwykle ważne. Orzeszki cedrowe to nasiona szyszek sosny syberyjskiej zwanej też limba syberyjską. Drzewo rośnie wolno, dorasta do około czterdziestu metrów wysokości a nasiona zaczyna wytwarzać w osiemnastym roku życia a w pełni zaczyna owocować po trzydziestu trzech latach. Kiedy więc pojawiają się szyszki z nasionami, drzewa są już słusznego wzrostu i obrywanie szyszek nie jest czynnością prostą.

Dlatego też orzeszki były drogie. Pomimo jednak wysokiej ceny od czasu do czasu kupowaliśmy szklaneczkę orzeszków, żeby dostarczyć organizmowi choć trochę tak bardzo potrzebnych witamin i minerałów. Ponadto orzeszki ratowały nas przed głodem i chroniły przed chorobami. Mieszkańcy tajgi od zawsze darzyli te drzewa ogromnym szacunkiem i nazywali je drzewami chlebowymi lub drzewami żywicielami. Cedrowe orzechy poza miodem i rybami do dziś stanowią podstawę wyżywienia mieszkańców tamtych rejonów.

W Abakanie były duże zakłady mięsne. Jeździliśmy do nich często zimą, bo oni za zewnątrz wylewali krew z uboju. Podkradaliśmy się więc pod to miejsce, wycinaliśmy zmarznięte bloki lodu z tą krwią i transportowaliśmy to do Lesozawoda. Z przewozem nie było problemu, bo te minus trzydzieści stopni to zimą było zawsze. Na miejscu, nasze mamy roztopiały ten lód z krwią i gotowały na nim zupę. Krew zwierząt zawierała jakieś tam witaminy, więc było to znacznie wartościowsze aniżeli zupa na wodzie. Był to kolejny sposób ratowania się przed śmiercią głodową. Oczywiście kradzież lodu z krwią, jak wszystko inne obarczona była ryzykiem wywózki do łagru.

Mocowanie z Buranem

Wspominałem wcześniej o strasznej zimowej zamieci na Syberii, którą miejscowi nazywali buranem. Przychodziła z zaskoczenia. Towarzyszył jej złowieszczo wyjący wiatr i obfite opady śniegu. W jednej chwili traciło się orientację. Nas też kilkakrotnie dopadł buran. Raz wracaliśmy z kolegą z Czernogorska. Szliśmy pieszo wzdłuż torów. Dodatkowym drogowskim były słupy trakcyjne. Było potwornie zimno. Przeszliśmy jakieś 3–4 km więc mieliśmy do przejścia jeszcze jakieś 4–5 km. Nagle zrobiło się zupełnie czarno, zaczął wiać wiatr i padać śnieg. Pojawił się buran. Straciliśmy zupełnie orientację. Słupy zginęły z pola widzenia. Zupełnie nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy. Brnęliśmy przed siebie nie do końca wiedząc czy idziemy w dobrym kierunku. Byliśmy potwornie zmęczeni. Zarówno brnięciem przez ogromne zasy, jak i tym wyjącym, działającym strasznie na psychikę wiatrem. Chcieliśmy choć chwilę odpocząć. W jednej z zasp wybraliśmy małą norkę i przysiedliśmy. Co chwilę jednak szarpaliśmy się nawzajem, żeby tylko nie zasnąć. Przy buranie zasypia się błyskawicznie. To jest bardzo łagodna śmierć. Chyba najłagodniejsza a rano jest już tylko z człowieka odlew. Pilnowanie się wzajemnie, żeby nie zasnąć wymagało od nas ogromnego wysiłku. Po chwili odpoczynku zebraliśmy się w sobie i ruszyliśmy dalej. Nie widzieliśmy nic. Kierowaliśmy się tylko instynktem. Żeby się nie zgubić trzymaliśmy się za ręce. W pewnym momencie wydało mi się, że widzę w oddali żółte światelko. Bałem się, że to zwidy. Okazało się jednak, że Edek też je zobaczył. Ostatkiem sił ruszyliśmy w tym kierunku. To była nasza osada. Światelko pochodziło z okienka ziemianki w której mieszkali Polacy. To była prawdziwa opatrność, że ono tam się paliło. Innym razem wybraliśmy się większą grupą

nocą na przekopki. Dostaliśmy informację o tym, że na polu w okolicach Taszebe mogą być nie wykopane ziemniaki i buraki. Pojechalśmy pociągiem. Oczywiście na gapę. Tam była tylko taka mała stacyjka przesiadkowa w polu. Żadnych zabudowań. Tylko jakieś ziemianki, w których mieszkali kolejjarze. Niestety informacja była fałszywa. Powiedziano nam, że może coś będzie na polu położonym kilometr dalej. Poszliśmy. W drodze złapał nas znów buran więc szybko zawróciliśmy. Z trudem dotarliśmy do tej zimnej stacyjki. Przesiedzieliśmy tam bez jedzenia i picia jakieś dwie doby, bo wszystko było zasypane i żadne pociągi nie jeździły. Tego roku bardzo wiele osób zmarło. Jedni z głodu a inni złapani właśnie w sidła burana.

Wypadek Mamy

Wiosną 1943 roku mama miała w pracy wypadek. Zdarzył się o 6.30 tuż, tuż przed końcem zmiany. Chwila nieuwagi i piła w tartaku przecięła jej od środka dłoń. Ponieważ na miejscu nie było lekarza specjalisty to zawieźli ją furmanką do odległego o szesnaście kilometrów, szpitala w Abakanie. Tam lekarze pozszywali dłoń. Niestety uszkodzeniu uległy nerwy i nie udało się ich pozszywać. Ręka pozostała już niesprawną. Mama już do końca życia miała przykurczone palce. Pobyt w szpitalu trwał coś około trzech miesięcy. My w tym czasie razem z bratem przebywaliśmy w miejscowym domu dziecka. Ten pobyt nas trochę wzmocnił. Po pierwsze dostawaliśmy trzy razy dziennie, regularnie jeść, po drugie były na miejscu jakieś środki czystości i myto nas często a po trzecie na jakiś czas zeszło ze mnie obciążenie psychiczne związane z zapewnieniem jakiegoś pożywienia dla mnie i brata. Pomimo całej tragedii związanej z mamy wypadkiem był to dla mnie bardzo szczęśliwy czas. Po powrocie do domu, mama nie mogła już pracować w tartaku. Ponieważ jednak jak mówią Rosjanie, kto nie pracuje ten nie je, to skierowano ją do innej lżejszej pracy. Została stróżem. Pilnowała różnych obiektów, czasami też sprzątała. Pamiętam, że któregoś razu wyznaczono ją do pilnowania ogromnego stogu zboża. Nie wiem co to było. Chyba jęczmień. On był postawiony i niewymłócony. A co najdziwniejsze, to ten stóg stał już od roku i był cały porośnięty. Bardzo mi odpowiadało to zajęcie mamy. Ona pilnowała, a ja wybierałem pojedyncze kłosiki. Ponieważ była już późna jesień to żeby nie zmarzła, to my w tym stogu wydrążyliśmy nawet taką jamkę, żeby mogła się schronić przed zimnem. Ona pilnowała go nawet w okresie wczesnej zimy. Był to bardzo dobry dla nas okres.

Mnóstwo czasu spędzaliśmy z mamą, bo jak ona szła do pracy to my razem z nią i razem wyszukiwaliśmy nadające się jeszcze do użycia kłoski. Ileż kłosików z tego stogu przynieśliśmy z mamą do domu trudno byłoby zliczyć. W jakiś czas po pilnowaniu stogu mama dostała jeszcze lepsze zajęcie. To dopiero było eldorado. Otóż mama została inspektorem na miejscowym bazarze. Jej zajęciem było kasowanie za tak zwane postojowe. Kiedy ktoś przyjeżdżał otrzymywał określony blankiet. One się różniły kolorem w zależności od tego co kto sprzedawał. Inne bileciki były dla tych, co przyszli z woreczkiem pestek od słonecznika, inne dla tych co przynieśli worek ziemniaków, woreczek grochu i parę główek kapusty a jeszcze inne dla kołchoźników co przyjeżdżali wozami czy zimą saniami, wypełnionymi towarami. Inna też była odpłatność. Mama kasowała to postojowe od poszczególnych sprzedawców i codziennie się z tego rozliczała.

Równolegle z mamą na bazarze pracowaliśmy my. Oczywiście wymagało to od nas ogromnej dyskrecji. Nikt z przyjeżdżających nie mógł nabrać nawet cienia podejrzeń, że te szwendające się po bazarze dzieci mają coś wspólnego z naszą mamą. Praktycznie na bazarze się z nią nie kontaktowaliśmy. Mój brat jako mniejszy, jako taki właściwie jeszcze brzdąc był lepszy do tego zadania niż ja. Na takiego myszkującego malucha nikt nie zwracał uwagi, a przede wszystkim nikomu nie przyszło na myśl, że on zagląda w różne kąty w określonym celu. 3–4 letnie dziecko to przecież jeszcze straszna gapa. Tylko, że mój brat nie był już gapą. On w tym wieku pracował, żeby przeżyć. A naszym zadaniem było wynajdywanie na ziemi tych bilecików, które mama dawała sprzedającym po skasowaniu postojowego. Każdy taki znaleziony bilecik to był czysty zysk. Mama mogła go sprzedać następnego dnia i pieniądze skasować do kieszeni. Oczywiście nie codziennie znajdowaliśmy bilety na ziemi, bo jedni chowali je do kieszeni, inni niszczyli ale takich co wyrzucali też było sporo. Były dni, że nawet potrafiliśmy znaleźć kilka porzuconych bilecików. To był dla nas naprawdę złoty okres. Pozwolił nam zaoszczędzić sporo pieniędzy. Ponadto bardzo często mama coś od tych kołchoźni-

ków dostawała. A to 2–3 ziemniaki, a to jedną główkę kapusty a to dwie marchewki. To też bardzo nam pomogło. To eldorado trwało niestety tylko rok. Po roku nie wiadomo dlaczego, ta praca trafiła się komuś innemu a mamę przerzucono do pomocy w kołchozie. Była już na rencie, ale pracować musiała. Najczęściej pomagała przy zbiorach, przy wykopkach. Pomagając pilnie obserwowała czego kołchoźnicy nie wykopali i zapamiętywała te miejsca. Potem kiedy z koleżankami chodziła na tak zwane przekopki to potrafiła zaprowadzić je w ciemno w miejsce, gdzie zawsze coś do jedzenia znalazły. Kołchoźnicy bardzo często świadomie pozostawiali w ziemi różne warzywa, bo sami też potem buszowali po polach. Im też często zaglądał głód w oczy. Takich arbuzów, czy melonów a nawet kapusty nie można było ukryć ani przechować, ale wszystkie okopowe–tak. Wystarczyło zerwać nać czy górne łodygi i iść dalej. Nikt nie podejrzewał, że w ziemi coś zostało.

Lepioszki – Szansa Na Lepsze Życie

W 1943 roku, mama po wypadku otrzymała lżejszą pracę, ale też i jej zarobki zmniejszyły się znacznie. Trzeba więc było dodatkowo jakoś dorobić, żeby przetrwać kolejny rok. Mama chyba sprzedała resztę spódnic z sutanny i za otrzymane pieniądze kupiła worek mąki. To kosztowało dużo pieniędzy. Jak pamiętam taki dziesięcio kilogramowy worek mąki mógł kosztować około 1500 rubli a mama zarabiała w dobrych czasach około 300 a po wypadku około 200 rubli. Z tej mąki piekła takie małe drożdżoweczki zwane na tamtym terenie lepioszkami. Zresztą nie ona jedna. Jednak ona miała jakiś dar, bo jej najlepiej wyrastały i takie były kształtne. Ja zajmowałem się sprzedażą. Pierwszymi odbiorcami byli żołnierze, którzy zaczęli stacjonować w Leszawodzie. Tu przechodzili szkolenia przed wyruszeniem na front. Wielu z nich to byli młodzi ludzie z bogatszych domów. Przyjeżdżali więc z jakimiś pieniędzmi. Ponieważ karmiono ich słabo to wiecznie chodzili głodni i dopóki mieli pieniądze to cały czas dokupowali coś do jedzenia. Byli więc idealnymi kandydatami do naszych lepioszek. Problem był tylko jeden. Nie wolno było żołnierzom kupować żywności. To był podobny absurd jak z kłosami, które mogły zgnieć ale nam nie wolno było ich podnieść z pola. Żołnierz mógł paść z głodu mając pełne kieszenie własnych pieniędzy. Przełożeni gonili więc mnie często. Często też udawało im się mnie łapać. Tarmosili mnie na strażnicy, obijali a czasami aby nastraszyć, przetrzymywali dzień lub dwa. Zatem jak tylko spadł pierwszy śnieg, to jadąc na handel do żołnierzy zakładałem łyżwy. Szybciej się uciekało. Miałem też sposób, by nie zabrali mi zarobionych pieniędzy. Jak mnie łapali to wciskałem je w śnieg i przydeptywałem nogą. Stałem się tylko dobrze zapamiętać miejsce zakopania. Po wyjściu

wracałem w to miejsce i wygrzebywałem pieniądze ze śniegu. Tym handlem zajmowaliśmy się już do końca naszego pobytu. Oczywiście z przerwami, kiedy nie można było kupić mąki. Potem coraz częściej zamiast rekrutów szkolących się przed wyruszeniem na front mieliśmy rannych z frontu. Któregoś razu, kiedy rannym żołnierzom sprzedawałem przed szpitalem lepioszki zawołał mnie jeden z nich prosząc, bym mu pomógł. Niestety lepioszki już wszystkie sprzedałem więc powiedziałem, że nie mogę mu dziś już pomóc. On na to odrzekł, że nie o taką pomoc mu chodzi. Początkowo się wystraszyłem. Był to bardzo rośli i starszy mężczyzna w mundurze woskowym. Wystraszyłem się, bo co on mógł ode mnie chcieć. Bałem się, bo przecież cały czas goniono nas za handel. Przyjrzałem mu się. Miał sparaliżowane ręce, ale nogami powoli powłóczył. Było bardzo zimno. Tak około minus trzydziestu stopni. Zatrzymałem się a on powiedział, że ma prośbę. Chce mu się siusiu i musi wejść do budynku. Nie może tego zrobić tu na zewnątrz bo zamarznie. Prosi mnie zatem żebym wszedł z nim, pomógł mu rozpiąć rozporek, wyjął członka by on mógł zrobić siusiu. Bałem się tego bardzo, ale jeszcze bardziej było mi go żal, więc poszedłem i pomogłem mu.

Z lepioszkami jeździliśmy też do Czernogory. Na te wyprawy zabierałem już Romka. Miał trzy lata, był bardzo rezolutny i już nadawał się na sprzedawcę. Nie miał świadomości tego, co nam grozi więc bez strachu zaczepiał ludzi i namawiał ich na kupno. Miałem z niego ogromny pożytek. Razem z nami jeździł też mój serdeczny przyjaciel Marian Pietkiewicz, który sprzedawał lepioszki pieczone przez jego mamę.

Wyprawy po Mąkę

W 1943 roku, kiedy odrobinę lepiej zaczęło nam się powodzić, kiedy mamie udało się odłożyć trochę pieniędzy ze sprzedaży lepioszek, postanowiliśmy bardziej rozwinąć naszą działalność produkcyjno-handlową. W tym celu potrzebna była mąka, której nigdzie na bazarze nie można było kupić. Mąka dostępna była tylko w zołotoskupkach, czyli sklepach skupujących złoto i w zamian za złoto wydających talony na zakup żywności. Czyli na miejscu się sprzedawało złoto, dostawało talony i za te talony w tym samym miejscu można było kupić reglamentowane towary czyli na przykład worek mąki. Ale my złota nie mieliśmy. Trzeba więc było szukać innego sposobu na zakup mąki. Najbliższa zołotoskupka była w Abakanie. Zacząłem więc regularnie odwiedzać Abakan. Odległość nie była porażająca, ale droga do prostych nie należała. Musiałem o świcie dotrzeć do Czernogory, tam dopiero przesiąść się na pociąg, który szedł okrężną linią przez stację przesiadkową Taszebe do Abakanu i tam się przesiadałem lubjechałem bezpośrednio do Abakanu. Miałem raptem dziesięć lat. Jeździłem sam z pieniędzmi. Jeździłem oczywiście bez biletu bo na taki koszt nie mogłem sobie pozwolić. Zatem przez całą drogę musiałem być czujny, żeby nie dać złapać się konduktorom. Nie raz zdarzały się ucieczki z pociągu w biegu. Wyskakiwanie z pociągu mieliśmy opanowane chyba do perfekcji. Jeździłem zatem do Abakanu, by przywieźć choć osiem kilogramów (to jest pół puda) mąki. Wyglądało to tak. Po przyjeździe odwiedzałem zołotoskupkę i tam czekałem aż ktoś sprzeda złoto i będzie chciał pieniądze zamiast talonu. Jak natrafiałem na taką osobę to albo odkupywałem od niej talon i sam odbierałem na niego mąkę, albo ona zamieniała talon na mąkę a ja już odkupywałem mąkę. Bywało

różnie, tak samo jak różne ilości mąki udawało mi się zakupić. Z tą mąką musiałem potem wrócić. Ileż to wymagało starań, żeby tą mąkę dowieźć do domu ile kombinacji, żeby nikt mi jej nie ukradł. Ja miałem tylko dziesięć lat i często przewoziłem osiem, dziesięć a jak mi się udało to i więcej kilogramów. To było bardzo niebezpieczne. Do Abakanu jeździłem po mąkę od 1943 roku aż do 1946. Oczywiście z przerwami, bo były takie okresy, że mąki nie można było kupić nawet w zołotoskupkach. Były na przykład konserwy czy olej ale nie było mąki. Zdarzało się też, że zajeżdżałem do Abakanu, szedłem do zołotoskupki a tam nikt przez cały dzień nie przyszedł sprzedać nawet grama złota. Musiałem więc wracać do domu z pustymi rękoma. To było straszne. Któregoś razu, ktoś z naszej grupy Polaków z Lesozawoda przypomniał mi o rodzinie Zadziorków. Oni mieszkali z nami w Lesozawodzie, ale wyjechali do Abakanu. Pamiętałem ich, bo mieli syna Stanisława, chłopaka trochę starszego ode mnie. Kiedy mieszkali jeszcze tu z nami to trochę się kolegowaliśmy. Mieli też córkę Zosię. Odzukałem ich w Abakanie i poprosiłem o pomoc. Nie odmówili. Od tego momentu ile razy jechałem do Abakanu to zgłaszałem się do nich i zatrzymywałem na dzień, dwa a czasami nawet i na trzy. Wszystko zależało od tego, w jakim czasie udało mi się upolować kogoś sprzedającego złoto i kupić mąkę. Kiedy byłem w Abakanie to państwo Zadziorkowie nie tylko dawali mi schronienie, ale też co było dla mnie bardzo ważne, żywili mnie. To wyżywienie to była dla mnie bezcenna pomoc. Tym bardziej, że ja u nich piłem coś nieosiągalnego w naszych warunkach. Ja piłem mleko? Jakim cudem? Otóż oni przywieźli ze sobą jakieś cenne kosztowności. Nie mogli ich sprzedać w Lesozawodzie ale udało im się to spieniężyć w Abakanie. Za te pieniądze wynajęli pokój czy dwa, już dokładnie nie pamiętam, od Rosjanki na przedmieściach Abakanu. Dodatkowo, ta Rosjanka namówiła ich także na zakup krowy. Nie wiem czy wolno im było kupić krowę? Prawdopodobnie ta Rosjanka kupiła ją po prostu na siebie. Faktem natomiast jest, że mieli krowę no i automatycznie mieli mleko. Będąc u nich, od czasu do czasu taki kubek mleka wypijałem. To była

bezcenna rzecz w tamtych warunkach. Dla nich ta krowa to też była prawdziwa matka żywicielka. Mieli mleko, niekiedy robili ser i już jakoś mogli przeżyć. A utrzymanie jednej krowy było możliwe nawet na tej lebiodzie która tam rosła. Jestem tym ludziom ogromnie wdzięczny za to wszystko co dla mnie w tamtym okresie zrobili. Ja w tamtych warunkach i w tamtym czasie mogłem tylko odwdziżyć się im zbierając chrust i placki krowięce na opał. Tego opału trzeba było nazbierać przez lato tyle, by potem starczyło na całą zimę i jeszcze wiosnę. Na wyżynie Sajańskiej nie było drewna. Wszędzie wokół było tajga a na samej wyżynie nie było prawie drzew. Kolejna ironia. Zatem razem z ich synem biegałem, pomagając mu zbierać wszystko co tylko nadawało się na opał. U państwa Zadziorków przygotowywałem się także do drogi powrotnej z mąką, czyli praktycznie najtrudniejszego etapu każdej takiej wyprawy. Przecież bieda była straszna.

Głód dotykał wszystkich. Każdy kto mógł coś ukraść to kradł. Ja w takich warunkach musiałem przewieźć kilka kilogramów mąki i nie pozwolić sobie jej ukraść. Mama uszyła mi kamizelkę z takimi przeszyciami. Zakładałem to na siebie, tak że miałem część maki rozłożoną z przodu a część z tyłu. Na to nakładałem różne łachmany i jakoś mąkę pod nimi ukrywałem. Ale to było tylko jedno zabezpieczenie. Szczęśliwy dowóz mąki do domu był uzależniony od mojej czujności już w samej zołotoskupce. Kiedy tylko wchodziłem do zołotoskupki, to tam zawsze było mnóstwo osób. Nigdy nie było wiadomo, kto jest kim. Nie wiedziałem czy wśród tych osób nie ma jakiegoś bandziora, który będzie chciał mnie dopaść, zadźgać nożem i odebrać mąkę. Takie rzeczy tam zdarzały się bez przerwy. Trzeba więc było być czujnym i zmylić ewentualnym bandziorów. Po każdym zakupie mąki kluczyłem po mieście tak długo, aż byłem przekonany, że nikt za mną nie idzie. Dopiero potem podążałem do Zadziorków. W drodze powrotnej po wyjściu od Zadziorków też najpierw krążyłem po mieście zanim dotarłem na dworzec. Potem na samym już dworcu wciskałem się w jakiś kąt i udawałem biednego, obdartego chłopca wracającego od rodziny z Abakanu. Dobrze mówiłem po

rosyjsku, więc czasami zagadnięty opowiadałem o odwiedzinach u jakieś ciotki czy babuszki, u których niby byłem, by mnie trochę podkarmili. Starałem się jednak siedzieć w kącie i nikomu nie rzucać w oczy. To samo, kiedy znalazłem się już w pociągu. Tym razem miałem już bilet. Jechałem legalnie. Wiozłem zbyt cenny ładunek, by jechać na gapę i narażać się na utratę mąki przez wpadkę za jazdę na gapę. Ale nawet jadąc legalnie i tak kryłem się po kątach, by nikomu nie wpaść w oko. Taka podróż zajmowała cały dzień. To było dla mnie okropne przeżycie. Niestety mąka oznaczała dla nas przetrwanie, więc nie bacząc na trudy jeździłem do końca naszego pobytu. Chyba opatrność boska nade mną czuwała, bo nigdy mi się w trakcie tych wypraw nic nie stało. Niestety inni nie mieli tyle szczęścia.

Szczęście w Nieszczęściu

Przez cały czas szukaliśmy jeszcze innej możliwości zdobycia mąki. Raz dlatego, że w Abakanie też nie zawsze była, dwa, te wyprawy do Abakanu dla mnie dziesięcio czy potem jedenastoletniego chłopca były ponad siły tak fizyczne jak i psychiczne. W 1944 roku mama dowiedziała się, że stacjonujące w Lesozawodzie wojsko ma mąki pod dostatkiem i zaczęła z nimi pertraktować w sprawie odkupienia jakiejś ilości. Dotarła do właściwych osób i kilkakrotnie przeprowadziła udane transakcje, co zwolniło mnie na jakiś czas z wyjazdów do Abakanu. Dziś już nie pamiętam, czy mama kupowała mąkę tylko dla nas, czy załatwiała dla większej ilości osób z naszego grona, które też trudniły się produkcją lepioszek. Myślę jednak, że załatwiała mąkę także dla innych, bo my takich kwot aby kupić cały worek mąki to nie posiadaliśmy a wojsko sprzedawało mąkę na worki. Któregoś razu ponownie przeprowadziła transakcję. Nie wiadomo, czy ktoś doniósł na nią czy też sami wojskowi postanowili podwójnie zarobić. Faktem jest, że już po załatwieniu transakcji, wpadli do nas do domu po kilku dniach wojskowi z bronią i oświadczyli, że robią rewizję bo ktoś w wojsku kradnie mąkę i sprzedaje i jest podejrzenie, że właśnie grażdanka czyli mama taką mąkę nabyła. Ponieważ myśmy w naszym pokoju nie mieli nic, gdzie można by coś schować, więc mąka była w worku pod łóżkiem. Nie trudno było ją znaleźć. Natychmiast ją zarekwirowali. Przy okazji rewizji, znaleźli jakieś pochowane w różnych miejscach na czarną godzinę pieniądze i też je zabrali. A schowki z braku sprzętów w pokoju, wymyślaliśmy różne. Bo my przecież mieliśmy tylko siennik i łóżko. Mama była jednak na tyle mądra, że wiedziała iż mimo wszystko nie można wszystkich oszczędności trzymać razem.

Mieliśmy jeszcze taki taborecik. W tym taboreciku była pod jedną z beleczek taka mała szczelinka i mama w tą szczelinę też chowała pieniądze. Zresztą te schowane pod taborecikiem to był cały nasz majątek po rewizji. To były jedyne, których nie znaleziono. Ale to były już bardzo nie wielkie kwoty. Najgorsze było to, że razem z mąką i zarekwirowanymi pieniędzmi zabrali ze sobą także mamę. W ciągu kilku sekund świat nam się z bratem zawałił na głowę. Nie wiedzieliśmy co będzie dalej. Dobrze jednak wiedzieliśmy co może się stać. Zgłoszenie tego przez wojsko do NKWD było równoznaczne z dodatkowymi piętnastoma lub nawet dwudziestoma latami łagrów. Jakim cudem mama się z tego wymigała, co nałgała wojskowym, że nie tylko ją wypuścili ale jeszcze nie zgłosili NKWD, nie wiem. Jak na to patrzy się z perspektywy to wygląda na to, że to było przez wojskowych ukartowane. Zarobili, więc już dalej nie zgłaszali. Żeby jednak nas nastraszyć, to jeszcze przez długi czas robili nam rewizje. Wpadali znienacka o różnych porach i przetrzucali wszystko do góry nogami. Potem to ja mamę chowałem na strychu. Ponieważ dach był stromy i deski wychodziły poza obręb budynku to między tymi deskami a okapem była przestrzeń. Na strychu mieliśmy wyjęte deski ze ściany i jak tylko pojawiali się żołnierze to ja tam mamę natychmiast chowałem, zakrywałem tymi deskami i oznajmialiśmy, że jej nie ma. Wówczas odchodzili. Tak nas chyba nękali dwa albo i trzy miesiące. To był straszny czas. Zarówno dlatego, że nas nękali ale też dlatego, że straciliśmy wszystkie wypracowane dotąd pieniądze. A ciężko na nie pracowaliśmy. My przecież staraliśmy się zarobić na powrót do domu. Cały czas żyliśmy nadzieją, że uzbieramy na bilety i podróż i wyrwiemy się stamtąd. To nas trzymało przy życiu i motywowało do pracy. A tu w jednej chwili straciliśmy i pieniądze i mąkę. A nie były to małe sumy. Jak pamiętam w worku mogło być około 30–32 kg. Kilogram mąki kosztował jakieś 200 rubli czyli worek około 6400 rubli. Mama po wyjściu ze szpitala zarabiała około 200 rubli na miesiąc. Jak więc znów mieliśmy zdobyć taką kwotę? Znów zaczął się dla nas okres koszmarnego głodu. Z drugiej strony i tak w tym nieszczęściu, mieliśmy bardzo dużo

szczęścia, że to się tylko tak skończyło. Nigdy już więcej mama nie podejmowała transakcji z wojskiem. Ja wróciłem na utarty mączny szlak do Abakanu.

Ta sytuacja miała jeszcze inny niezwykle nieprzyjemny aspekt. Otóż wśród Polaków było też wiele osób, które sobie nie radziły w tych koszmarnych warunkach. Powodów takiej sytuacji było jak zwykle mnóstwo. Czasami wynikało to z niezaradności życiowej, z nieumiejętności przystosowania się do ekstremalnych warunków, z nieumiejętności życia w grupie a czasami ze zwykłego lenistwa. Wśród tych osób wielu było takich, co bardzo nieprzychylnie spoglądało na mamę i jej koleżanki, szczególnie po tym jak mama dzięki pieczeniu lepioszek stanęła trochę na nogi i niecodziennie głód zaglądał nam w oczy. Zazdrość razem z głodem paliła ich wewnętrznosci, ale palcem nie kiwnęli, żeby poprawić swój los. Kiedy więc mamie podwinęła się noga to złe języki znalazły pożywkę. Natychmiast po Lesozawodzie rozeszły się plotki, że mama zadaje się z żołnierzami. Ja do dzisiaj pamiętam jak mama bardzo te oszczerstwa przeżywała. Odbijało się to także na mnie, bo moi rówieśnicy słysząc takie rozmowy w domu to też kierowali pod moim adresem różne docinki. Pamiętam, że nawet kiedyś w tej sprawie stoczyłem jakąś bójkę. Po czasie ta sprawa się wyjaśniła i złe języki zamilkły. Zanim jednak to nastąpiło mama i my przeżyliśmy mnóstwo nieprzyjemnych chwil.

Wolontariat w Szpitalu

Najdziwniejsze co nam mogło się przydarzyć to szpital polowy na naszym terenie. Po rozpoczęciu wojny sowiecko–niemieckiej, rannych żołnierzy zaczęto lokować wszędzie tam, gdzie tylko były jakieś sale które można było przeznaczyć na szpital. Ilość rannych żołnierzy była tak ogromna, że nie było co z nimi robić. W całym kraju brakowało miejsc w szpitalach. Ponadto tereny zachodnie kraju były wyniszczone działaniami wojennymi lub też nadal trwały tam walki. Rannych więc przerzucano głęboko na wschód. U nas pod szpital przeznaczono wszystkie wojskowe budynki, w których kiedyś szkolono rekrutów. Ponieważ kolej bezpośrednio do nas nie dochodziła to wylądowywano rannych na odległej o około półtora km stacji i bardzo ciężko rannych dowożono furmankami a mniej rannych doprowadzano pieszo. Ale osób do doprowadzania nie było. A ta akcja dowożenia trwała chyba przez tydzień. I przez ten cały tydzień my chłopcy pomagaliśmy w transporcie tych rannych do szpitala. Jedni jęczeli z bólu inni byli bez rąk, bez nóg. To było dla nas bardzo ciężkie doświadczenie. Szpital działał przez rok. Jeden transport rannych przyszedł wiosną a drugi jesienią. A może odwrotnie. Najgorsze było chowanie zmarłych zimą. Przy temperaturach poniżej minus pięćdziesięciu stopni nie było czym i jak wykopywać grobów. A właśnie wtedy najwięcej ich umierało. Z jednej strony z powodu odniesionych ran, ale też dodatkowo z powodu zimna. Wykuwano więc w tej twardej, zmarzniętej na skałę ziemi płytkie groby i chowano jednego przy drugim. Nie było innej możliwości. Nie było żadnego sprzętu, którym można by przy tak niskich temperaturach dokopać się głębiej. Najgorsze jednak przychodziło na wiosnę. W tamtych rejonach jak przychodziła odwilż to trwało

to raptem dwa dni i już wszystko spływało. Proszę sobie wyobrazić że nagle wszystko się topi i wszystkie te ciała wypływają na powierzchnię. Amputowane nogi, ręce, zwoje bandaży. To było dopiero straszne. Dużo straszniejsze niż widok tych rannych czy potem już zmarłych.

Dodatkowo dowieziono do nas ofiary śmiertelnego wycieńczenia z głodu z obleganego przez wojska niemieckie Leningradu. Ulokowano ich w naszym kinoteatrze. Brakowało jednak personelu który by tymi ludźmi się zajął i wytłumaczył im, że nie wolno im na początku jeść więcej niż drobinę, bo grozi to śmiercią. My żyjący w wiecznym głodzie doskonale to wiedzieliśmy. Więc znów my dzieci krążyliśmy między leżącymi na rozłożonych na ziemi posłaniach i pomagaliśmy, jak tylko umieliśmy i mogliśmy. Tłumaczyliśmy, ile i jak jeść by nie zaszkodziło. Ale my dzieci nie mogliśmy opiekować się wszystkimi. Niestety do wielu z przywiezionych, informacja by jeść w bardzo małych ilościach i wszystko żuć powoli nie dotarła. Nie było nikogo, kto by się nimi zaopiekował i pomógł. Umierali ze skrętu kiszek, jak przysłowiowe muchy. I znów my chłopcy pomagaliśmy ich chować. Myślę, że część z tych co przeżyła, to właśnie nam i naszej opiece zawdzięczała życie. My balansujący już kilka lat na granicy życia i śmierci, sami ratowaliśmy życie innym. Czyż to nie była ironia losu?

Dziwne Spotkania

Pod koniec naszego pobytu, chyba to było już w 1945 niezależnie od siebie i Marian i ja spotkaliliśmy nowych przybyszy. Wracając któregoś dnia chyba gdzieś po koniec lata pieszo z handlu w Czernogorsku zauważyłem w szczerym polu, już niedaleko Lesozawodu, duży ogrodzony teren. Wzdłuż postawione były wieże strażnicze, ale nikogo w nich nie było. Za ogrodzeniem znajdowało się mnóstwo żołnierzy, którzy coś na mój widok wykrzykiwali. Był to przedziwny obraz. Absolutnie pusty, ogromny teren, bez jakiegokolwiek nawet drzewa i grupka stłoczonych razem żołnierzy. Rękoma dawali mi znać, żebym podszedł. Bałem się, ale podszedłem. Nic nie rozumiałem, czego ode mnie chcieli ale z wykonywanych przez nich gestów wiedziałem, że błagają o coś do jedzenia. Niestety nic nie miałem. Wszystkie lepioszki sprzedawałem w Czernogorsku. Pokazałem im, że nic nie mam. Pokazałem im nawet puste kieszenie. Mówili w zupełnie nie zrozumiałym dla mnie języku. Byli niewysokiego wzrostu i mieli skośne oczy. Moją uwagę przykuł ich ubiór. Byli tak nierealni w tamtych warunkach, że nie mogłem od nich oderwać oczu. Mieli wspaniałe skórzane kurtki, mieli fantastyczne czapki z białym futerkiem i mieli coś, co było marzeniem każdego na Syberii. Oni mieli buty. Te buty były skórzane i wystawało z nich futerko, taki biały baranek. Zamarzyło mi się przehandlowanie z nimi czegoś za te buty. Pokazałem im na migi, że przyjdę jeszcze i przyniosę coś do jedzenia. Parę dni później z Czernogorska wracał pieszo Marian i też natknął się na ten obóz. Też go przywołali do siebie. Ponieważ zostały mu chyba dwie lepioszki to przehandlował je z nimi. Dali mu łyżkę, która dla nas była cennym nabytkiem bo sztućców nie mieliśmy. Używaliśmy łyżek wystruganych z gałązek. Na łyżce

wygrawerowany był napis USA Early. Mój kolega Marian ma tę łyżkę do dzisiaj. Kiedy pojechałem następnym razem do Leso-zawoda i wracałem pieszo, to widziałem ich jeszcze, ale podejść nie było można bo wszędzie stały straż. Zbliżenie się do obozu groziło śmiercią. Potem, kiedy tamtędy wracałem zimą, to już nie było nikogo. Myślę, że wszyscy zmarli. Nie mieli żadnej szansy na przetrwanie w tych warunkach. Na terenie obozu nie było ani jednego drzewa, nie było nic, z czego można by zbudować jakieś schronienie. Nie mieli też żadnych narzędzi, którymi mogli by wykopać jakieś doły w ziemi. Jak więc mieli w tych mrozach i przy pojawiających się co rusz Burianach przetrwać? Nie mieli żadnej szansy. Dziś myślę, że byli to piloci japońscy, których wzięto do niewoli w czasie agresji na okupowaną przez Japończyków Mandżurię. Wszystkie nasze nieszczęścia spowodowane zostały najazdem Niemców na Polskę. Przez całą wojnę nie zobaczyłem jednak ani jednego żołnierza niemieckiego. Spotkałem natomiast żołnierzy japońskich.

Nasze Tęsknoty

Przez cały czas pobytu tęskniliśmy mocno za rodziną, przyjaciółmi, za pozostawionym domem i poprzednim życiem. Te wszystkie jednak nasze tęsknoty skumulowały się w jednej niewyobrażalnej z dzisiejszego punktu widzenia – w tęsknocie za Polską. Dla nas tam w Syberii, Polska urastała do mitycznego raj. Codziennie wieczorem modląc się z mamą przed pójściem spać, prosiliśmy Boga zarówno o zdrowie dla mojego małego braciszka jak i o szczęśliwy powrót do Polski. Tego, jak tęskniliśmy za krajem nie da się słowami opisać. To była tęsknota wręcz irracjonalna. Stojąc dniami i nocami w kolejce po chleb obserwowaliśmy niebo i szukaliśmy znaków od Boga. Ileż to razy przekonywaliśmy siebie nawzajem, że w chmurach ukazała się Matka Boska, co miało zwiastować dobry rok i szybki powrót do kraju albo widzieliśmy rycerza na koniu, który miał zwiastować zwycięstwo. Widzieliśmy to, co za wszelką cenę chcieliśmy zobaczyć. Wierzyliśmy we wszystko w co chcieliśmy wierzyć.

Romek

Kiedy nas wywożono, Romek miał pół roku. Jakim cudem przeżył podróż nie wiem. W większości przypadków niemowlęta nie docierały na zsyłkę, bo nie przeżywały podróży. Chyba dlatego Romek był wśród polskich dzieci najmłodszy. Nie miał rówieśników, więc jak tylko zaczął stawać na nogach to wszędzie pętał się za nami. Czasami miałem go serdecznie dosyć. Z drugiej strony było mi go żal bo nie miał nikogo z kim mógłby się bawić. To przebywanie wśród nas sprawiło, że Romek bardzo szybko rozwijał się i życiowo dojrzewał. Kiedy miał dwa lata, potrafił już o siebie zadbać. Jak ja wyruszałem na dalekie eskapady i zostawiałem go samego, to już potrafił coś sam ukraść do jedzenia i ten czas przeżyć. Zresztą w tym duchu go wychowywałem. Uczyłem go cały czas, że o każdy okruszek należy się bić. Bo kilka takich okruszków może zdecydować o naszym przeżyciu. Uczył się szybko. W tamtych warunkach wszyscy szybko dorastaliśmy. Oczywiście, że często płakał, że jest głodny, że chce mu się jeść. Nic nie mogliśmy zrobić. Tłumaczyliśmy mu z mamą, że musi wytrzymać, że jutro coś do jedzenia poszukamy. I tyle. Romek bardzo tęsknił za chlebem. Ziaren zboża nie umiał jeszcze rozgryzać a chleb jadł. Kiedy już był starszy i miał cztery czy pięć lat to nie tylko, że ja go zabierałem ze sobą na wypady, ale on już sam chodził na różne kradzieże i żebraniny. Był tak mały, że nawet te żebraniny mu się udawały. Potrafił często wyprosić czy wyblagać jakiegoś jednego pomidora czy na przykład ogórka z ogródka. Nauczyłem go kraść pestki na bazarze i szybko stał się mistrzem w ich podbieraniu. Kiedy ja jeździłem do Abakanu, to on zostawał sam i musiał sobie radzić. I szło mu to nieźle.

Koniec Wojny

O zakończeniu wojny dowiedzieliśmy się natychmiast. To była ogromna radość. My płakaliśmy ze szczęścia a Rosjanie świętowali to zwycięstwo przez kilka dni. Przecież dla tych prostych ludzi daleko na Syberii, koniec wojny oznaczał nie tylko zwycięstwo ale koniec wielu ograniczeń a także i głodu. Wkrótce też w Lesozawodzie zaczęły pojawiać się materialne dowody końca wojny. Do wszystkich rodzin, których ojcowie, bracia, kuzyni byli na frontach i przeżyli, zaczęły przychodzić paczki z frontowymi trofeami. To nie były paczki dwu czy czterokilogramowe. To były paczki olbrzymie, myślę że często ważące dwadzieścia a nawet i więcej kilogramów. Co w nich było? Wszystko co można było ukraść. Od porcelany, dzieł sztuki, ubiorów, biżuterii poczynając a na częściach maszyn kończąc. Wiele rzeczy w tych paczkach było zupełnie bezużytecznych. Zobaczył ktoś coś w fabryce, można to było odkręcić lub wyrwać, to odkręcał i wyrwał nie zastanawiając się co z tym dalej zrobi. To było na zasadzie a nuż się przyda. Widziałem na własne oczy mnóstwo takich nieprzydatnych tam części przychodzących w paczkach, bo rosyjscy koledzy pokazywali mi je, chwając się oczywiście tymi zdobyczami. To, że sami nie wiedzieli co z tym zrobić, już nie miało znaczenia. Dla nich to były łupy wojenne ich ojców, braci, krewnych i to już był powód do dumy. A tych łupów przychodziło coraz więcej. Dowództwa armii, ponoć zachęcały żołnierzy, żeby rabowali wszystko co tylko jest możliwe. Może słowo zachęcali nie jest tu najlepsze. Myślę, że taki był wręcz rozkaz. Dlaczego? Bo jeśli się kogoś tylko zachęca, to przy braku reakcji czy odmowie nie stosuje się kar. Jeśli natomiast jest to rozkaz, to w przypadku nie wypełnienia go można karać. A skąd wiem, że karano. Otóż jedna z rosyjskich rodzin

też otrzymała paczkę. Niezbyt dużą. W paczce była ścięta głowa członka rodziny. Dziś już nie wiem, czy ojca, czy syna. Nie widziałem tej głowy osobiście, ale w całym Lesozawodzie opowiadano, że odmówił szabrowania czyli kradzieży. Myślę, że tego nikt nie zmyślił.

Jak tylko wojna się skończyła, to my zaczęliśmy upominać się o powrót. Mieliliśmy delegatury Związku Patriotów Polskich. Zatem do nich kierowaliśmy pytania o powrót. Nie byli zachwyceni naszymi prośbami i żądaniami. Stawialiśmy ich w niezręcznej sytuacji. Bo jakże to mieli przedstawić władzy radzieckiej? Że my chcemy wracać, bo jesteście przez tą władzę gnębieni? To nie było w duchu ich propagandy. Swoja postawa burzyliśmy mit wspańiałości Związku Radzieckiego, który już zaczynał się budować. Zaczęto grać z nami na zwłokę. Odwodzono nas od szybkiego powrotu, tłumacząc, że w Polsce jest bieda, kraj zrujnowany i że tu mamy lepsze warunki niż moglibyśmy mieć w Polsce. Nawet padały teksty typu, po co w ogóle chcemy wracać. Przecież będziemy musieli tak samo ciężko pracować, jak tu. To po co jechać tyle tysięcy kilometrów. Niestety nie daliśmy się przekonać. Żądaliśmy konkretnej odpowiedzi, kiedy? Kiedy odwiedzali nas delegaci Związku Patriotów Polskich pytaliśmy konkretnie kiedy, a oni przez cały czas nas zbywali oświadczynami, że się starają, że załatwiają, że to trzeba opracować logistycznie. My jednak byliśmy nieugięci i cały czas żądaliśmy konkretnych terminów. Po cichu liczyliśmy, że latem 1945 roku uda nam się już stamtąd wydostać. Potem byliśmy przekonani, że do gwiazdki opuścimy Syberię. Strasznie pod względem psychicznym i fizycznym przeżywaliliśmy kolejną zimę na Syberii. Dary już nie przychodziły. Niektórzy, którym udało się nawiązać już kontakty z rodzinami w Polsce, czy z bliskimi którzy byli w Armii Andersa lub Kosciuszkwowców, to oni otrzymywali od nich paczki. Jedni z Polaków z różnych stron świata, w zależności gdzie ich najbliżsi się znajdowali lub osiedli. My, Pietkiewiczowie, Komorowscy zdani byliśmy tylko na siebie. Nasi ojcowie się nie odezwali, co choć nie dopuszczaliśmy jeszcze tej myśli do siebie, mogło oznaczać

tylko jedno. Nie mieliśmy też żadnego kontaktu z dalszą rodziną. Zresztą cała nasza rodzina została rozbita. Dziadek nie żył. Większość mamy sióstr zmarła jeszcze przed wojną lub w jej trakcie. Z ojca braćmi też nie mieliśmy kontaktu. Po wojnie dowiedzieliśmy się, że dwóch z nich znalazło się później w Związku Radzieckim i potem nawet zajmowali eksponowane stanowiska. Nigdy jednak nie nawiązali z nami kontaktu. Piekielnie zatem baliśmy się tej nadchodzącej zimy. Trzeba więc było znów kombinować. Ciągłe zadawaliśmy sobie pytania – dlaczego jeszcze tu jesteśmy? co my tu robimy? Dlaczego nikt nas stąd nie zabiera? Im więcej pytań, tym mniej odpowiedzi. Wreszcie wiosną zaczęły rozchodzić się informacje, że coś się zaczyna dziać w naszej sprawie i że prawdopodobnie przed Wielkanocą wyjedziemy. Byliśmy niezwykle podekscytowani. Nasze mamy jeszcze więcej piekły lepioszek, a my jeździliśmy je sprzedawać. Mama gromadziła pieniądze na drogę. Wiedzieliśmy, że będzie długa, że trzeba zgromadzić zapasy żywności a i po drodze trzeba mieć pieniądze, żeby coś kupić bo na samych przygotowanych przez mamę sucharkach nie dojeździemy. Wszystkie nasze siły wykorzystywaliśmy, by jak najlepiej przygotować się do drogi powrotnej.

Wracamy

Do Polski wracaliśmy w oparciu o dokumenty repatriacyjne. Wydawano je w Krasnojarsku. Żeby jednak taki dokument otrzymać, trzeba było udowodnić, że się jest Polakiem. I tu zaczynały się problemy. Po przyjeździe na zsyłkę trzeba było podpisać dokument, o którym już wspominałem, że przez 20 lat nie opuści się tego miejsca. Potem on na szczęście stracił ważność. Ale był jeszcze jeden dokument, który podsuwano do podpisania. Był to dokument o zmianie obywatelstwa. Do podpisania tego dokumentu już nie zmuszano, ale wymuszano go obietnicami lepszego traktowania i życia. Wyglądało to tak. Wezwano moją mamę i powiedziano jej. Słuchaj Marusia jesteś sama, masz dwójkę małych dzieci i ledwo przeżywasie każdy kolejny dzień. Ponieważ pochodzisz z terenów obecnej Białorusi to zostań Białorusinką. W zamian będziemy Cię lepiej traktować, dostaniesz lepszą pracę, lepsze zarobki, większy przydział na chleb. Ty i Twoje dzieci macie większą szansę na przeżycie. Mama nie chciała o niczym takim słyszeć, ale parę kobiet, które przywieziono tu z gromadką małych dzieci, chcąc je ratować przed głodową śmiercią podpisywały ten dokument. Ktoś kto przeżył zsyłkę, przeszedł przez to piekło zimna, głodu i brudu potrafi zrozumieć decyzję tych kobiet, ale przede wszystkim matek. Bo to matki podpisywały te dokumenty nie mogąc patrzeć, jak na ich oczach umierają kolejne dzieci. Zrobiły to po prostu by je ratować. Nie wiedziały tylko, że tym jednym podpisem zamknęły sobie prawo powrotu do Polski. Pozostali, którzy zostali przy polskim obywatelstwie też nie otrzymywali automatycznie papierów repatriacyjnych. Swoją polskość należało bowiem jeszcze udowodnić jakimś dokumentem, na którym musiała znajdować się pieczętka z orłem. Skąd

takie dokumenty? Wiele osób wyrwanych przez NKWD w nocy z łóżek i mających dwadzieścia minut na spakowanie rodziny, brało w przerażeniu co najpotrzebniejsze do przeżycia, czasami biżuterię na czarną godzinę i w panice zapominało o szukaniu jakichkolwiek dokumentów. Tym bardziej, że prawie zawsze wejściu NKWD towarzyszyły wrzaski, rewizja mieszkania, wyrzucanie wszystkiego z szaf i szuflad na podłogę. Jednym słowem panował wielki chaos. W tej sytuacji wiele osób albo paraliżował strach i nie potrafili logicznie myśleć, albo zwyczajnie zapominali o poszukaniu jeszcze w tym bałaganie dokumentów. U nas też tak to wyglądało, ale kiedy żołnierze wyrzucili wszystko na podłogę to mama w ostatnim momencie zgarnęła część dokumentów z podłogi i wrzuciła do siatki. Nawet nie sprawdzała co zabiera. Na miejscu okazało się, że wśród zabranych dokumentów jest dokument ze ślubu rodziców. Była na nim pieczętka parafii z orłem. I to nas uratowało. Jeśli ktoś nie miał takich dokumentów, to niestety musiał zostać. Cześć z tych osób wracała potem po 1957 roku, ale też nie wszyscy. A takie dokumenty, nawet jak ktoś zabrał z Polski to w tamtych warunkach łatwo było stracić w ciągłych kontrolach. Trzeba było bardzo mocno ich pilnować. Kiedy nas wywożono, to liczne kontrole były po drodze. Potem kolejna w Abakanie, potem jeszcze kolejna już po przyjeździe do Mochowa. Oni szukali wywrotowych pism, książeczek do nabożeństwa a właściwie rekwirowali wszystko co było napisane po polsku. Przerzucali więc bagaż, rozrzucaли wszystko i jak się nie było czujnym, to można było łatwo takie dokumenty stracić a wraz z nimi szansę na powrót. Tak samo szansy na powrót nie mieli Ci, którzy zostali wywiezieni na Syberię w latach dwudziestych. Takie osoby też tam spotkaliśmy. W trakcie wyjazdu, jedni szaleli z radości a inni przeżywali dramaty. Zdarzało się też, że do wielu miejscowości informacje o możliwości wyjazdu zupełnie nie dotarły. Ci ludzie też pozostali. Niektórzy już na zawsze.

Dokumenty repatriacyjne wydawano w oparciu o umowę polsko radzieckiej komisji do spraw repatriacji osób narodowości polskiej i żydowskiej z dnia 6 lipca 1945 roku. My otrzymaliśmy

je dopiero 22 lutego 1946 roku a w marcu chyba gdzieś około 29, podstawiona nam wagony. Nasza trasa wyglądała w ten sposób: Lesozawod–Czarnogorsk–Abakan–Krasnojarsk–Aczinsk, Tomsk, Nowosybirsk, Omsk, Czelabińsk, Ufa, Samara, Moskwa, Mińsk, Brześć, Warszawa, Poznań, Stargard Szczeciński – Gryfice. To była niesamowita radość. Pamiętam, że jak wagony się pojawiły, to pieszo biegliśmy do nich, żeby tylko już zająć miejsce. Było zimno, jeszcze wokół leżał śnieg, ale my na to nie zważaliśmy. Najważniejsze dla nas było, jak najszybciej dostać się do pociągu. Podróż trwała około miesiąca. Zanim jednak wyruszyliśmy tak naprawdę, to trzeba było pokonać etapy wstępne czyli najpierw wydostać się z Lesozawoda. Jeszcze w Lesozawodzie okazało się że pani Pietkiewicz nie otrzymała dokumentów repatriacyjnych dla siebie i dzieci. To był ogromny problem.

Pierwsza z pomocą przyszła pani Żymetro, która wracała tylko z córką a w papierach miała trójkę dzieci. Nikt nie odnotował śmierci dwójki a zdjęć przecież nie było. Kobiety ustaliły, że pani Żymetro zabiera dwójkę dzieci pani Pietkiewicz, czyli Mariana i Fredzię jako swoje. Pani Pietkiewicz się na to zgodziła. Liczyła, że w razie czego zajmie się nimi rodzina w Polsce. Potem swoją pomoc w wydobyciu tego dokumentu zaoferowała pani Gajdanowicz, nasza nauczycielka z letniej polskiej szkoły. Znała nie tylko dobrze rosyjski ale też miała trochę orientacji w funkcjonowaniu tamtejszych urzędów. Kiedy podstawiono nam wagony zapakowaliśmy się do nich i czekaliśmy na jakąś lokomotywę. To nie było tak, że od razu przyjechał po nas skład i zaproszono nas do wyjazdu. To my napieraliśmy, żeby wyjechać. Wreszcie były już wagony i lokomotywa. Ruszyliśmy najpierw do Czernogorki a potem do Abakanu, gdzie dosiadali się ci co żyli w tych miastach. Z Abakanu ruszyliśmy do Krasnojarska, gdzie dopiero kompletowano składy kolei transsyberyjskiej i stamtąd mieliśmy wyruszyć do Polski. Wszystko to trochę trwało. Bo te eszelony liczyły po sto a czasami i więcej wagonów. Zanim więc skompletowano pełne składy to pani Kiewra razem z panią Pietkiewicz udały się do urzędu, gdzie wystawiano dokumenty repatriacyjne

i okazało się, że dokument pani Pietkiewicz jest na miejscu. Po prostu nie wysłano go do niej. Udało się więc go jeszcze na czas wydobyć i pani Pietkiewicz mogła z dziećmi spokojnie wracać do Polski. Podróż trwała około miesiąca bo w tych dużych miastach często zatrzymywaliśmy się, ponieważ trzeba było przepuszczać transporty które wracały z zachodu z nakradzionymi różnego rodzaju dobrami. Tych transportów szły niesamowite ilości. Szła żywność, odzież, maszyny, praktycznie wszystko co można było zabrać, oderwać, odkręcić, ukraść. Buszując po stacjach w poszukiwaniu żywności widziałem całe składki pociągów, pełne maszyn. To był niesamowity widok. Ponadto szły też transporty na Syberię. Przewożono jeńców z obozów niemieckich. Wszyscy żołnierze radzieccy, którzy trafili do niemieckiej niewoli, otrzymywali 10–15 lat łagrów. Czasami jechało tyle składów transportów że staliśmy na bocznicach nawet dzień, dwa i trzy. Naszych transportów też było dużo. Jechało kilkanaście a może i więcej składów pociągów z całej Syberii. Często spotykaliśmy się na różnych bocznicach. W pociągu panowała niesamowita atmosfera. Rozpierała nas radość, że wreszcie wracamy do naszej wymarzonej i wymodlonej Polski. Jednocześnie panował głód i zimno. To był marzec. Za oknami leżał śnieg. Na zewnątrz panował mróz. Jechaliśmy przecież w bydlęcych wagonach. Nikt nam na drogę powrotną nic do jedzenia nie dał. W wagonach poza pryzmami i siennikami były wstawione takie piecyki żelazne, tak zwane kozy ale zarówno opał jak i żywność trzeba było zdobyć we własnym zakresie. Dlatego też każdy postój to było poszukiwanie opału i żywności. Odstawiano nas na bocznicę.

Te duże miasta miały bardzo rozbudowaną sieć kolejową. Buszowaliśmy więc między różnymi wagonami na dworcach, żeby coś upolować i skraść. Ponieważ wszystkie towary Rosjanie przeładowywali w ten sposób, że najpierw wyrzucali na dworzec a potem ponownie załadowywali na inne wagony to myszkowaliśmy, czy gdzieś coś nie zostało. Poszukiwaliśmy wszystkiego od starych używanych rzeczy poczynając, poprzez cokolwiek do jedzenia, cokolwiek do rozpalenia pieca po takie frykasy jak sól

czy cebula. Sól czasami udało nam się pozyskać na dworcach, bo Rosjanie przy przeładunku wysypywali ją na dworcu i zostawiali. Przychodziło ciepło, ona się trochę topiła i zostawała na ziemi. Dlatego mieliśmy przy sobie zawsze jakieś narzędzia i zeszkrobывaliśmy z ziemi co się tylko dało. Oczywiście, że jak nie można było nic znaleźć to próbowaliśmy ukraść a jak i to nie szło to choć coś kupić do jedzenia, bo trochę rubli na drogę mieliśmy zaoszczędzone. Naszym podstawowym zadaniem było penetrowanie dworców. Przemykaliśmy pod wagonami, bo tych torów było czasami dwadzieścia albo i więcej. To nie było bezpieczne.

Po pierwsze nigdy nie było wiadomo, jak długo będziemy stali. Próbowaliśmy się dopytywać, ale otrzymywaliśmy mgliste odpowiedzi. Po drugie z uwagi na fakt iż w głąb kraju wracały pociągi z żołnierzami oraz ze zdobyczami wojennymi to na peronach i bocznicach było mnóstwo żołnierzy i policji NKWD. Gdyby nas przyłapano, to najłżejszą karą było pobicie. Mogli nas jednak zabić lub zwyczajnie wysłać do łagrów. Byliśmy dziećmi, ale mieliśmy żadnych dokumentów, więc byliśmy bezpaństwowcami. Ponadto mieliśmy już po dwanaście lat a w tym wieku mogliśmy być już sądzeni i skazani. Z każdej więc strony groziło nam niebezpieczeństwo. Musieliśmy zatem liczyć na łut szczęścia i coraz to wybierać się na nowe eskapady. Na penetrowanie okolicznych wagonów zabierałem brata. Jednak, jak się wybieraliśmy dalej to nie pozwalałem mu chodzić ze sobą. Często udawało nam się znaleźć buraki i buraki cukrowe a nawet i ziemniaki. To była wiosna 1946 roku. Żywność już była transportowana z rejonów uprząnych w głąb kraju. Często przy przeładunkach coś spadało i zostawało. Zimą zamarzło pod śniegiem a teraz kiedy zeszyły śniegi to nagle się znajdowało. Podobnie było na pobliskich polach. Wiedzieliśmy, że nigdy wszystkiego nie wybrali więc szukaliśmy. Często, ku naszej radości coś udawało się znaleźć.

Byliśmy szczęśliwi, jeśli pociąg zatrzymał się tak, że mogliśmy dojść do dworca. Na ogół stawaliśmy na bardzo odległych bocznicach, ale czasami gdy było nieco bliżej to wybieraliśmy się na dworzec. Tam zawsze były jakieś babuszki sprzedające bułeczki

lub pierożki, od których można było coś wyprosić lub kupić. Zawsze to już było coś. Ponieważ nigdy nie było wiadomo ile mamy czasu to zdarzyło mi się chyba pięć albo i sześć razy pozostać, kiedy nasz transport odjechał. Za pierwszym razem kiedy zostałem, przeżyłem straszną rozpacz. Byłem sam. Nie miałem żadnych dokumentów. Jakoś jednak dopytałem się, znalazłem inny transport z wracającymi z Syberii Polakami i dogoniłem na kolejnej stacji nasz pociąg. Kiedy później nie udało mi się zdążyć na czas to już nie panikowałem tylko wsiadałem to kolejnego i jechałem. Czasami zdążyłem na nasz pociąg ale na przykład do ostatniego wagonu. Te transporty miały niekiedy nawet i po sześćdziesiąt wagonów, Trzeba było bardzo uważać aby się w tym nie pogubić. Oczywiście pozwalano mi wsiąść do innego wagonu, dawano kawałek miejsca w wagonie i jechałem. Wówczas wśród wracających panowała ogromna solidarność. Jednego razu widząc, że pociąg odjeżdża wskoczyłem na stopnie. Niestety drzwi nie udało mi się otworzyć. Nie mogłem jechać na stopniach bo wiatr by mnie zdmuchnął. Przeczółgałem się więc na bufor między wagonami i siedząc na nich okrakiem, przejechałem chyba kilkanaście godzin. Byłem tak przemarznięty, że jak się zatrzymaliśmy to nie mogłem zsiąść. Ryzykowaliśmy potwornie. Czasami z konieczności ale czasami też z głupoty i braku wyobraźni. Zdarzało się, że jeśli pociągi stały bliżej dworca to poza penetrowaniem samych dworców i bocznicy wypuszczaliśmy się także do centrów miast. Czasami wiedziałem je też, kiedy nie zdążyłem na swój transport.

Byłem ciekawy świata. Pamiętam, że któregoś razu wybraliśmy się z jednym z kolegów do miasta. W mieście jeździły tramwaje więc wsiedliśmy. Oczywiście nie mieliśmy pieniędzy więc jak zwykle jechaliśmy na gapę. Niestety wszedł kontroler i trzeba było uciekać. Jeżdżąc pociągami na gapę nabraliśmy dużej wprawy w wyskakiwaniu z wagonów. Tym razem też nie wiele myśląc wyskoczyliśmy. Skakaliśmy z pierwszego wagonu, oczywiście nie patrząc gdzie i na co. Zasada była jedna. Uciekać szybko i nie dać się złapać. I ona ciągle obowiązywała. Wyskoczyłem więc i nagle poczułem, że zamiast się zatrzymać to zsuwam się coraz

niżej wprost pod koła kolejnych wagonów. W żaden sposób nie mogłem temu się przeciwstawić. Dosłownie w ostatniej chwili poderwałem nogi w górę, ratując je przed obcięciem przez koła następnego wagonu. Zeskoczyłem na zlodowaciałą przyzmę śniegu i zwyczajnie się po niej zsuwałem. Opatrzność nade mną czuwała. Ale to był zwyczajny brak wyobraźni, który mógł zakończyć się dla mnie tragicznie. Innym razem siedziałem w wagonie, grzaliśmy się wokół piecyka, kiedy nagle wagonem szarpnęło. Żeby nie upaść odruchowo chwyciłem się rury od piecyka. Tej rozgrzanej do czerwoności rury. Jak ją puściłem to była na niej skóra z moich dłoni. Ból był straszny. Leków nie mieliśmy. Nie zostało nic innego jak trzymać ręce w śniegu a potem pozawijając w szmatki. Bolało strasznie, ale i tak trzeba było chodzić na poszukiwania żywności. W drodze z Leszawoda do Polski udało mi się pierwszy raz od sześciu lat spróbować kawałek kielbasy. Myszukając któregoś dnia po uliczkach jednego z miasteczek zauważyłem trzech chłopaków w moim wieku biegnących z workami. W pewnym momencie usłyszałem, że rozmawiają między sobą po polsku. Zawołałem do nich. Gdy się odwrócili to okazało się, że jeden z nich jest moim kolegą z Leszawoda. Jego rodzice zmarli a on sam trafił do Domu Dziecka. Teraz razem z pozostałymi polskimi sierotami wracał do Polski. To było niesamowite spotkanie. Kiedy jednak do nich podeszedłem to odruchowo zanim o coś zapytałem, zrobiłem palcem dziurę w worku, żeby zobaczyć co w nich mają. Oniemiałem. W workach były kielbaski. Dzieci z Domu Dziecka w przeciwieństwie do nas otrzymywały regularne pożywienie i on razem z chłopakami nieśli kolejną porcję żywności. Oczywiście wyciągnąłem przez tą dziurę dwie kielbaski i wyprosiłem je od nich. Pierwszy raz od wyjazdu z Polski miałem spróbować kawałek kielbaski. To był niesamowity traf. Oj, jaka to była radość przynieść mamie i bratu po kawałku kielbasy.

Pasażerowie na Gapę

W trakcie podróży do Polski przemycaliśmy dwie osoby. Jedną był Rosjanin, który zakochał się w naszej sąsiadce a jednej z mamy koleżanek. Czy oni wzięli tam w Lesozawodzie ślub, tego nie wiem. Wszyscy natomiast wiedzieliśmy, że on chciał za wszelką cenę wyjechać z nią do Polski. Niestety przepisy nie zezwalały. Jeśli Polak poślubiłby Rosjankę, to ona mogła z nim wyjechać. W sytuacji odwrotnej, Polka i Rosjanin to mężczyzny nie wypuszczano. Lubiliśmy go, więc postanowiliśmy mu pomóc. Zresztą kiedyś, gdy mieliśmy kolejne kiepskie dni i głód nie dawał o sobie zapomnieć, to któregoś wieczora przybiegł do nas strasznie rozemocjonowany i zawołał mamę i tą jej koleżankę. Był tak rozemocjonowany, że początkowo nie mogliśmy zrozumieć o co mu chodzi. Dopiero kiedy spod płaszcza wyjął gęś z ukręcona głową to pojęliśmy, że skrócił życie przypadkowo spotkanej gęsi. Było to niesamowicie niebezpieczne, bo gęsi na tym terenie można było chyba policzyć na palcach jednej ręki. W tej sytuacji, trzeba było, szybko ją oskubać, oprawić, podzielić i tak dobrze ukryć, zarówno to co trzeba było wyrzucić, jak i to co zostawało do jedzenia, żeby nie zostawić żadnego śladu. Baliśmy się nie tylko tych co będą szukać gęsi, ale też wścibskich sąsiadów. Gęś zapewniła nam jedzenie na następnych kilka dni. Znów widmo śmierci głodowej się odsunęło. Jak zatem teraz nie mieliśmy mu pomóc. Przemycaliśmy go w siennikach. Zresztą nie tylko jego. Mieliśmy jeszcze jednego pasażera na gapę i to z kryminalnym wyrokiem. A była nim nasza sąsiadka Rachela Jaworska. Rachela Jaworska była Żydówką, która wyszła za mąż za bogatego polskiego obszarnika. Kiedy zaczęły się wywózki na Sybir to jego wytypowano jako pierwszego. Ale tylko jego. Ona z dziećmi mogła zostać, tam

gdzie mieszkali. Nie zgodziła się. Spakowała dzieci i dobrowolnie przyjechała z mężem na zesłanie. Ten jej mąż był niepełnosprawny. Pamiętam, że kulał. Chyba nie mógł też wykonywać ciężkich prac, więc zatrudniono go do pilnowania różnych obiektów, m.in. pól z uprawami. Któregoś dnia będąc w pracy, zresztą na tej wyspie, na którą ja jeździłem po szczaw, został przez jakąś bandę złodziejasków zabity. Pani Rachela Jaworska pozostała sama z dwójką dzieci i jak każda z matek starała się jakoś je utrzymać przy życiu. Kradła więc jak większość. Któregoś dnia, już krótko przed wyjazdem, kiedy dokumenty repatriacyjne były już wydane, ukradła kilka marchewek. Niestety miała pecha, bo ją złapano. Natychmiast zawieziono ją do Abakanu i miała mieć rozprawę sądową. Było wiadomo, że za kradzież marchewki otrzyma minimum pięć lat łagru. Jak pamiętam, to pani Rachela Jaworska była piękną, wysoką, postawną kobietą. A do tego była niezwykle kontaktowa. Umiała do każdego zagadać, jak trzeba było coś załatwić to potrafiła też strasznie bajerować. Zresztą tego bajerowania to ona nauczyła moją mamę. W każdym razie oczekując w Abakanie na rozprawę sądową, zaczęła prosić tych co ją pilnowali w sadzie, żeby pozwolili pójść jej do toalety. Musiała nieźle ich zbajerować, że się zgodzili. Ona tylko na to liczyła. Jak tylko znalazła się sama w toalecie to natychmiast uciekła przez okienko z budynku sadu. Ponieważ nieraz bywała w Abakanie i miała tam znajomych, to szybko pobiegła do nich. Oni nie tylko ją ukryli, ale jak pociąg wiozący nas do Polski, dotarł do Abakanu, gdzie dosiadali się kolejni Polacy, to bocznymi drogami dostarczyli ją do nas do wagonu. No to mieliśmy drugiego pasażera na gapę. Nie będę wspominał ile i co ryzykowali zarówno Ci co jej pomagali w Abakanie, jak również my. Ja miałem już ukończone dwanaście lat i zgodnie z prawem mogłem być sądzony jak dorosły. Ale nikt z nas nie zwracał na to uwagi. Dla nas najważniejszym zadaniem było teraz przewieźć obu gapowiczów do Polski. Pani Rachela miała co prawda dokument repatriacyjny, ale osadzono ją zaocznie i miała wyrok. Kolejne kontrole wiedziały o tym wyroku. A przez całą drogę tych kontroli było sporo. Potrafili wpaść

znienacka w drodze, lub też przychodzili, jak staliśmy na stacjach. To było bardzo niebezpieczne, ale my mieliśmy ogromną frajdę, że znów udało nam się wyprowadzić ich w pole. Ukrywaliśmy ich to w siennikach, to w innych wagonach i potem chyłkiem przeprowadzaliśmy z wagonu jednego, do innego który już był skontrolowany. Jak trzeba było odwrócić uwagę kontrolerów to też mieliśmy sposób. Wszczynaliśmy straszliwe bijatyki. Robiło się potworne zamieszanie. Krzyczeliśmy my, krzyczeli nasi rodzice próbujący nas rozdzielać. W tym samym czasie, kiedy kontrolerzy byli zajęci nami, to tyłem wyprowadzano naszych podróżników na gapę. Byliśmy ogromnie dumni i niezwykle szczęśliwi, wjeżdżając do Polski. Nie tylko przemyciliśmy ich przez drogę, ale też przez granicę. W Polsce mogli przestać się już ukrywać i jechać oficjalnie z nami. Ryzykowaliśmy wszyscy bardzo, ale nie myślało się o tym.

Dotarliśmy do Polski

Podjeżdżając już do polskiej granicy zatrzymaliśmy się i przerzucano nas do innych wagonów. Nasze koleje mają inny rozstaw kół. To już była radość. Byliśmy przecież już tuż. Jednak prawdziwa radość to była granica. Szaleliśmy. Rosjanie na nas krzyčili, jeszcze próbowali robić kontrolę, ale polscy żołnierze już im nie pozwalali. Stawiali im się ostro. Dla nas polscy żołnierze byli wspaniali. Nie pozwalali Rosjanom już nas popychać, czy uderzać kolbą. Starali nam się pomóc. Pamiętam, jak pociąg stanął na granicy i wszyscy, absolutnie wszyscy poza obłożnie chorymi wysiedli i całowali ziemię i siebie. Poczęstowano nas chlebem i jakimś ciepłym posiłkiem. Już z nami była nie musząca się już ukrywać pani Rachela Jaworska oraz to polsko-rosyjskie małżeństwo. Z granicy ruszyliśmy w kierunku Warszawy, ale nie zatrzymaliśmy się. Mijaliśmy ją i z daleka widzieliśmy kompletnie wypalone i zbombardowane budynki. Nie wiem jednak z której strony Warszawy jechaliśmy. Następnym dużym miastem był Poznań. Do Poznania dotarliśmy w Święta Wielkanocne. Byliśmy głodni, obdarci, na boso i potwornie zawszeni. Na naszej odzieży nie było kawałka materiału w całości. Wszystko miało po kilka warstw, bo łata przykrywała łatę. Butów nie mieliśmy bo i skąd. Największym jednak problemem były wszy. W Poznaniu zawieziono nas wszystkich do łaźni. Wykąpaliśmy się. Już sama kąpiel uczyniła nas innymi ludźmi. Nie pamiętam, kiedy wcześniej się kąpałem. Dostaliśmy też czystą odzież i jeszcze trochę ciuchów na zapas i jakieś chyba koce do położenia na tą słomę na której jechaliśmy w wagonach. To było coś niesamowitego, czysta odzież bez łat i dziur. A na dodatek zaproszono nas na święta. To był pierwszy rok po wojnie, więc te święta były bardzo ubogie ale

w porównaniu z tym co dotąd jedliśmy to, to była prawdziwie królewska uczta. Jadłem ciasto. Pierwszy raz po kilku latach jadłem coś słodkiego i to był wielkanocny placek a może babka. To było absolutnie niesamowite. Do tego była święconka, były jajka. My ciągle zastanawialiśmy się czy to jest sen czy prawdziwe życie. Wszyscy cieszyli się razem z nami. Wszędzie przyjmowano nas tak serdecznie. Czuliśmy, że naprawdę jesteśmy w Polsce. Rozpierała nas nie tylko radość, ale i duma, że daliśmy radę, że przetrwaliśmy, że wróciliśmy. Byliśmy naprawdę bardzo szczęśliwi. Szkoda, że to uczucie, już nigdy więcej nie miało się po opuszczeniu Poznania powtórzyć.

Po wspańniętych trzech czy może czterech dniach pobytu w Poznaniu, ruszyliśmy dalej na północ w kierunku Szczecina. Jechaliśmy zupełnie w nieznane. Żadna z naszych mam nie знаła tych rejonów a wszystkie musiały podjąć ważną życiową decyzję o wyborze miejsca na dalsze życie. O ile byłoby łatwiej, gdyby nasze mamy miały przy sobie mężów a my ojców. Niestety wszystkie wracające z Syberii rodziny były niepełne i tak już miało pozostać. Wówczas jeszcze ani nasze mamy ani też my chyba tak do końca nie zdawaliśmy sobie z tego faktu sprawy. Jeszcze w nas wszystkich tliła się nadzieja, że pewnego dnia otrzymamy list, lub stanie przed nami wytęskniony mąż i ojciec. Nigdy to marzenie się nie spełniło. Wiosną 1946 roku, żyliśmy jednak ciągle jeszcze nadzieją a nasze mamy musiały podejmować, szczególnie trudne w naszej ówczesnej sytuacji – męskie decyzje. Z tego co pamiętam, to nie było odgórnego nakazu co do naszego miejsca osiedlenia się. Praktycznie mogliśmy wysiąść w każdym mieście, w którym po drodze się zatrzymywaliśmy i pojechać w dowolne miejsce w Polsce. Pamiętam, że w Poznaniu jedna z rodzin syberyjskich wysiadała. To wszystko zależało, od kontaktów w Polsce. Jeśli ktoś miał gdzieś w Polsce jakiś krewnych i udało mu się nawiązać z nimi kontakt a jeśli jeszcze ci krewni mogli pomóc w znalezieniu mieszkania i zagospodarowaniu się w tych pierwszych miesiącach to oczywiście jechał tam, gdzie mieszkali krewni. Jednak takie rodziny jak nasza, państwa Pietkiewiczów, Komorowskich,

Kleszczyków czy innych, które nie miały w Polsce kontaktów z żadnymi krewnymi to jechaliśmy tak, jak nam zasugerowano czyli w rejon Szczecina. Pamiętam, że mama zastanawiała się nad Szczecinkiem, w którym część rodzin wysiadła. Zniechęcił ją jednak widok wypalonych smutnych budynków, które mijaliśmy wjeżdżając do miasteczka. Ostatecznie nasze mamy zdecydowały, że wysiadamy w Gryficach. Nie wiem co wpłynęło na ich decyzje ale bardzo dużo rodzin osiedliło się w Gryficach i w przyszłości wszyscy mieszkaliśmy blisko siebie w budynkach usytuowanych przy trzech położonych w sąsiedztwie uliczkach. Nim jednak to nastąpiło, to po przyjeździe do Gryfic odstawiono nas na bocznicę i siedzieliśmy w naszych bydlęcych wagonach.

Zaczynamy Nowe Życie w Gryficach

W Gryficach nikt nas nie witał. Nie wiem czy tego oczekiwaliśmy. Nie wiedzieliśmy też nic o wojennych przejściach Polaków osiedlonych już w chwili naszego przyjazdu w Gryficach. Wydawało nam się jednak, że po naszych prawie sześciu latach życia na okrutnej syberyjskiej ziemi, w potwornym głodzie, zimnie i brudzie otoczeni zostaniemy choć odrobiną serdeczności. Po ogromnie radosnym powitaniu, które zgotowano nam w Poznaniu chyba gdzieś tam w zakamarkach naszych dusz i umysłów tliła się jakaś nadzieja na może nie aż takie owacyjne, ale choć ciepłe przyjęcie. Tymczasem przyjechaliśmy, odstawiono nas na bocznicę i czekaliśmy. Nie wiem ile czasu upłynęło, nim przyjechano po nas i przewieziono nas do baraków. To były koszarowe baraki, w których wcześniej szkolono niemieckich żołnierzy a potem przetrzymywano jeńców i osoby przygotowywane do wysiedleń. Oczekujący na wywóz do Niemiec przebywali w tych barakach jeszcze kilka tygodni a może dni przed naszym przyjazdem. To było dla nas brutalne spotkanie z rzeczywistością. Wymarzona, wyśniona przez sześć lat egzystencji na pograniczu życia i śmierci ojczyzna, zaoferowała nam to samo co nasz wróg – baraki. A do tego brudne, cuchnące trutką na szczury, baraki po niemieckich jeńcach. Odór trutki na szczury był tak silny, że prześladował mnie jeszcze przez kilka następnych lat. Z Syberii wróciliśmy z niczym. Wszystko co mieliśmy to, to w co ubrano nas w Poznaniu. Nie mieliśmy więc jak i za co żyć. Znów jak na zsyłce musieliśmy zebrać o coś do jedzenia. Byliśmy potwornie rozgoryczeni. Chyba nie na to liczyliśmy. Nikt nie marzył o luksusach ale o dachu nad głową, możliwości zaspokojenia głodu. Owszem, czas był trudny, kraj zrujnowany po wojnie, wszystkim było ciężko. Wielu było

takich co wracało z tułaczki, nic nie mając i organizowało swoje życie od podstaw. Może nie potrafiliśmy właściwie ocenić sytuacji. Ale z perspektywy tych sześciu lat spędzonych w koszmarnych warunkach, w syberyjskich mrozach dochodzących do minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza i o głodzie wywołującym halucynacje, kiedy przy życiu trzymała nas tylko nadzieja na powrót, Polska stała się dla nas wymarzoną i wyidealizowaną miejscem. Nie było godziny przez te sześć lat, abyśmy nie marzyli o suchej kromce chleba w ilości pozwalającej zaspokoić głód, o polskich lasach i łąkach a także o chwilach beztroskiego dzieciństwa. Kiedy zatem po kolejnym miesiącu jazdy w bydłych wagonach, w warunkach urągających jakiejkolwiek cywilizacji, wycieńczeni dotarliśmy do tej przez sześć lat wymarzonej i wymodlonej Polski i okazało się, że tak naprawdę to nikt nas tu nie oczekuje, trudno się dziwić naszemu rozgoryczeniu. Byliśmy tylko okaleczonymi psychicznie dziećmi, które los zmusił do bycia dorosłymi już w wieku 5–6 lat. Byliśmy po strasznej traumie, nadal głodni, przerażeni nieznanym, obcym miejscem, bez jakiejkolwiek pomocnej dłoni i z pełną świadomością, że czas dzieciństwa wcale nie wrócił, że nasza walka o prawo do życia wcale się nie skończyła. Czy w tej sytuacji mogliśmy inaczej reagować? Naszą frustrację pogłębiał fakt że na Syberii byliśmy wśród wrogów a tu byliśmy wśród swoich a żebranina i kradzieże znów stały się naszym obowiązkowym zajęciem. Największa trauma było mieszkanie w tym cuchnącym baraku. Trzeba zatem było jak najszybciej poszukać innego lokum. O ileż byłoby nam łatwiej, gdyby był z nami ojciec, gdyby w którejkolwiek rodzinie był dorosły mężczyzna. Niestety wszystkie rodziny składały się z samotnych kobiet i dzieci w wieku około 10–15 lat, wśród których mój 6-letni brat Romek był najmłodszym. Mamy a także i my penetrowaliśmy bliższe i dalsze okolice w poszukiwaniu pustych, nadających się do zasiedlenia mieszkań. Ponieważ to było już wczesne lato 1946 roku, to wszystko co bez dodatkowego nakładu nadawało się do zamieszkania, było już zajęte przez przybyszów z centralnej Polski, a także wielu z Wielkopolski. Było

jeszcze mnóstwo zniszczonych budynków a nawet domków jednorodzinnych, czasami tylko bez drzwi i okien, które przy jakiś tam środkach finansowych i nakładzie pracy można by przystosować do zamieszkania. Ale my nie mieliśmy nawet na chleb a skąd tu na fachowca. I tu znów zemścił się brak mężczyzn. Gdyby byli to pewne prace mogliby wykonać sami i też te początki wyglądałyby inaczej.

Nasze mamy choć nieprawdopodobnie silne psychicznie to jednak zbyt słabe były fizycznie w tamtym okresie, by zająć się jeszcze dodatkowo pracami budowlanymi. My dzieci zajęci byliśmy organizacją i zdobywaniem czegokolwiek, co mogłoby nam ułatwić życie na początek. Nie mieliśmy przecież przysłowiowej łyżeczki, talerza a ni nic co na ten talerz można by było położyć. Wszystko wymagało zdobycia. Przeszukiwaliśmy więc dokładnie wszystkie pustostany w poszukiwaniu nie wywiezionych i nie rozkradzonych jeszcze jakichkolwiek przydatnych przedmiotów. Po jakimś czasie wskazano nam na obrzeżach miasteczka mieszkania w dawnych poniemieckich budynkach postawionych raczej dla niezamożnych mieszkańców. To były trzykondygnacyjne domy. Mieszkania były małe. Na początku był pokój z kuchenką a po latach dostaliśmy tam jeszcze jeden pokoik. Ubikacje były na zewnątrz, wodę donosiło się ze studni. Mieszkania miały kompletne okna, drzwi i coś co było dla nas w tamtych warunkach bardzo ważne, a mianowicie małe drewniane szopki na tyłach, w których można było zgromadzić opał na zimę a nawet hodować jakiegoś prosiaka. Ważne było jeszcze coś innego. Tych mieszkań w obrębie kilku przylegających do siebie ulic było dużo, więc mogliśmy się przenieść wszyscy. Ponieważ miejsce i otoczenie było dla nas obce a mieliśmy za sobą lata wspólnych ciężkich chwil, w trakcie których niejednokrotnie wspieraliśmy się zatem nic dziwnego, że przy braku innych więzi rodzinnych staliśmy się dla siebie jedną rodziną i trzymaliśmy się razem. Po latach dopiero założono nam wodę i gaz. Gryfice miały własną gazownię więc ten gaz był tu szybciej niż może w innych rejonach Polski. W budynku tym mieszkaliśmy do końca lat siedemdziesiątych. To znaczy

moja mama, brat i bratowa bo ja od roku 1951 mieszkalem już w Szczecinie. Oczywiście mogliśmy jeszcze później skorzystać z dokumentów repatriacyjnych i w zamian za potwierdzone urzędowo pozostawione na kresach mienie zamienić to mieszkanko na inne większe czy domek do remontu, praktycznie bezkosztowo. Niestety to nie było dla nas. Gdyby żył ojciec, to pewnie nasze życie potoczyłoby się inaczej, ale w tamtej sytuacji i czasach mama była zbyt zajęta pracą na praktycznie dwóch a czasami i dwu i pół etatach, żeby zajmować się jeszcze sprawami urzędowymi. Syberia nauczyła nas nie przywiązywania się do rzeczy materialnych i cieszenia się z minimum i to też prawdopodobnie miało wpływ, że zaraz w latach czterdziestych mama nie podjęła starań o lepsze mieszkanie a w przyszłości, kiedy mnie już w Gryficach nie było, nie uczynił tego brat. Ja w ostatnim momencie przed upływem terminu składania podań o odzyskanie mienia zabużańskiego złożyłem stosowne dokumenty, ale ponieważ był to już rok 1979 to na ich rozpatrzenie z uwagi na zachodzące przemiany w Polsce, musiałem czekać kolejnych dziesięć lat. W zamian na pozostawiony na kresach dobytek nie otrzymałem już ani mieszkania ani domu bo ich już nie było, tylko dwadzieścia procent wartości pozostawionego mienia, liczone od kwot obowiązujących w danym rejonie. W naszym przypadku to było dwadzieścia procent wartości, od ziemi i domu o tej samej powierzchni w Białymstoku. W 1946 roku zadowoliliśmy się otrzymanym pokojem z kuchnią bez wody i toalety i rozpoczęliśmy zagospodarowywanie. 24 maja a więc dopiero po miesiącu od chwili przyjazdu, władze miasta dały nam pierwsze rzeczy. Pod pieczętą z tego dnia w dokumentach repatriacyjnych widnieje zapis: wydano: 1 pierzyna. 1 prześcieradło. 1 poduszka, 1 kołdra, 2 ręczniki, 1 para majtek. Pod datą późniejszą jest : wydano 700 zł, później jeszcze 300 zł, potem 14 listopada jest zapis: 1 spódnica i 1 para spodni. Potem 24 grudnia a więc w dzień wigilii–300 złotych. Oczywiście cieszyliśmy się bardzo z tego, bo przecież nie mieliśmy nic. To był duży zastrzyk do tego co mama zarabiała.

Mama, przydział do pracy dostała po paru tygodniach. Naj-

pierw to były jakieś prace porządkowe. A potem, jak już zaczęto remontować cukrownię, która zachowała się w całości, tylko była kompletnie rozkradzioną przez rosyjskie wojska to mamę skierowano do pracy w cukrowni i tam pracowała do 1958 roku, kiedy to odeszła na rentę inwalidzką.

Potem mimo przejścia na rentę i tak jeszcze pracowała. We wszystkie wakacje wyjeżdżała nad morze. Ponieważ świetnie gotowała to jeździła, jako zastępca szefa kuchni. Jak urodził się mój syn a potem dzieci brata, to zajmowała się wychowywaniem wnuków. Była nie tylko niesamowicie pracowita, ale też bardzo ruchliwa. Cały czas krążyła między Szczecinem a Gryficami. Mojego syna do osiemnastego roku życia, to w dużej części ona wychowywała. Jak on i dzieci brata były starsze to latem wyjeżdżała z nimi nad morze. A i tak jeszcze w przerwach między zajmowaniem się dziećmi, dorabiała gdzieś w stołówkach ośrodków pracowniczych. Posiadała niesamowitą potrzebę pracy.

Syberyjskie Piętno

Syberia odcisnęła na nas swe piętno. Już na początku lat pięćdziesiątych mama zachorowała na gruźlicę płuc. Prawie przez rok leczyła się w sanatorium w Rokosowie. Jakoś z tego wyszła. Ja w 1953 roku zachorowałem na wrzody żołądka i dwunastnicy a w 1976 na gruźlicę. O ile wrzody udało się podleczyć szybko, to gruźlica opierała się wszelkim metodom leczenia. Miałem dziury w płucach. Przez pół roku leżałem w szpitalu a potem pół roku jeszcze w domu. Kilka miesięcy po moim zachorowaniu, gruźlicę wykryto również u mojego brata. Niestety niedożywienie dawało o sobie znać. I to nie tylko to z czasów syberyjskich, ale też z czasów powojennych. Co z tego, że mama pracowała i to na dwóch etatach. Zarabiała tak mało, że nadal na nie wiele mogliśmy sobie pozwolić. Brakowało nam przede wszystkim tłuszczów i mięsa. I to się tak nawarstwiało.

Moja Edukacja

Zanim od września poszedłem do szkoły, to w czasie wakacji pracowałem u jednego państwa na gospodarstwie na obrzeżach Gryfic. Pracowałem w zamian za jedzenie i odzież. Oni mi bardzo w tym pierwszym okresie pomogli. Ponadto mieli polskie książki bo mieli trochę starszego ode mnie syna. Z tego co pamiętam to on działał w PPS-e. Był politycznie zorientowany inaczej. Przebywając u nich bardzo dużo czytałem. Do pierwszej klasy szkoły podstawowej trafiłem mając dwanaście lat a nawet ponad dwanaście. W pierwszej klasie byłem miesiąc i przeniesiono mnie do drugiej klasy. I potem tak klasa po klasie nadganiałem. Problemem był cały czas język polski. Bardzo dużo się uczyłem. Uwielbiałem się uczyć. Pochłaniałem książki jak szalony. Z literatury pięknej czytałem wszystko co tylko udało mi się zdobyć. Na Syberii mieliśmy jedną bajkę po polsku, przemyconą przez kogoś. Była tak zacytowana przez te lata, że już druk był niewidoczny. W Gryficach też książek polskich na początku było nie wiele, bo i skąd miały być. Gryfice to przecież było niemieckie miasteczko. Szkołę podstawową skończyłem z pierwszą lokatą po trzech latach. Po skończeniu szkoły podstawowej poszedłem do liceum. Zdałem małą maturę i postanowiłem zdobyć zawód. Trzeba było znaleźć coś co dawało zawód. Znaleźliśmy z mamą Technikum Budowlane w Szczecinie. Ono dawało maturę ale dodatkowo tytuł technika budowlanego. Złożyłem papiery, zdałem egzamin wstępny i jako jedyny z moich kolegów zostałem przyjęty. Zamieszkałem w internacie. Nie stać nas było na moją naukę, więc we wszystkie wakacje pracowałem. Moja mama pracowała w tym czasie w cukrowni i załatwiała mi w czasie wakacji pracę klasyfikatora rzepaku, lnianki, rzepiku i buraków cukrowych. Jeździłem po całym województwie.

Oczywiście jeździłem pociągami i chodziłem od wioski do wioski pieszo. Po roku a może dwóch, trzech, kolega złożył mi ze starych części i podarował rower. Było mi już trochę łatwiej. W technikum, jako roczniki przzerośnięte uczyliśmy się popołudniami. Zajęcia zaczynały się chyba po godzinie piętnastej, bo większość uczniów pracowała. Technikum skończyłem z pierwszą lokatą i zaproponowano mi bez egzaminu wstęp na studia. Bardzo chciałem się uczyć dalej. Nie miałem warunków do studiowania. Mama pracowała na dwóch etatach i jeszcze dorabiała prasowaniem, sprzątaniem, gotowaniem. Brała wszystkie prace byleby trochę dorobić. Było jej ciężko. Wiedziała jednak, jak bardzo pragnę się uczyć, więc zdecydowaliśmy, że wykorzystam szansę i pójdę na studia. Potem jeszcze skończyłem podyplomowe studia zarządzania pracownikami urbanistycznymi w Warszawie. Okres nauki przypadł na czas mojej choroby na gruźlicę. Pamiętam, że władze uczelni posłyły mi na rękę i mogłem przysyłać prace pocztą. Uczyłem się więc w szpitalu, pisałem prace i wysyłałem pocztą do Warszawy. Pamiętam, że lekarze zwolnili mnie nawet ze szpitala, bym mógł pojechać do Warszawy na egzamin końcowy. Pojechałem, zdałem i nawet otrzymałem nagrodę za wyniki w nauce. Ale nie tylko ja miałem taki pęd do wiedzy. Podobna droga kroczyli moi koledzy. Rzadko który z nas Sybiraków skończył edukację na szkole podstawowej. Większość zrobiła maturę a wielu poszło na studia.

Ogromnym problemem w szkole był nasz sposób wyśławiania się i nasz śpiewny akcent. Walczyłem z tym, jak tylko mogłem. Czytałem całymi nocami na głos, uczyłem się poprawnej wymowy, ale do końca akcentu się nie wyzbyłem. Nasiąknęłam nim przez te lata za mocno, a może też nie umiałem właściwie się uczyć wyzbicia go. Przecież nikt mi w tym nie pomagał. Ucząc się mówić próbowałem naśladować brzmienie innych. Starałem się upodobnić swój sposób wyśławiania do tego jak mówili inni poza Sybirakami. To były jednak przykre doświadczenia. Dzieci nas przedrzeźniały, rodzice tych dzieci to akceptowali. Bardzo często żeby nam dokuczyć wyzywano nas od Sybiraków, traktując to

jako bardzo pejoratywne słowo. Nie była to do końca wina tych dzieci. Oni nie wiedzieli co to Sybirak, jak trudno było zachować tam godność i być Polakiem. Pamiętam, że któregoś dnia taki wypomadowany paniczek z naszej klasy, taki typowy picuś–glancuś też zaczął mnie wyzywać i przedrzeźniać na przerwie. Kazałem mu zaprzestać i obiecałem lanie, choć był silniejszy ode mnie. Wyśmiał mnie i zaproponował spotkanie po lekcjach. Mieliśmy się bić. Był silniejszy i większy, więc wydawało mu się, że szybko rozłoży mnie na łopatki. Nie wiedział, że w życiu stoczyłem mnóstwo bójek i byłem zahartowany. Nie minęło więc kilka minut, kiedy leżał rozłożony na łopatkach i poobijany. Ponieważ wokół nas zgromadziło się mnóstwo uczniów, to przytrzymałem go na ziemi, siadłem na nim i wymogłem publiczne przeprosiny i jednocześnie publiczne przyrzeczenie, że już nigdy nie będzie mnie obrażał ani prześmiewał. Ciężko mu było przełknąć to upokorzenie, ale zrobił to. Przeprosił mnie i przyrzekł przy całej klasie, że już nigdy mnie nie nazwie Sybirakiem. Od tamtego czasu miałem ogromne poważanie w klasie. Potem jeszcze nie raz mnie przedrzeźniano w starszych klasach. Trzeba było nauczyć się z tym żyć. Przecież całe życie nie mogłem się bić.

W liceum miałem też niezłą przygodę. Na lekcji historii przy omawianiu jakiegoś tematu związanego z II wojną światową, zapytałem nauczycielkę czy mogła by nam szerzej opowiedzieć o Katyniu. Nam na Syberii sprawa Katynia była znana. Często o tym rozmawialiśmy. Tu moi koledzy nic o tym nie słyszeli a nauczycielka kiedy ja zapytałem zrobiła się biała jak płótno. Ja myślałem, że zemdleje. Po chwili opanowała się a ponieważ w klasie po moim pytaniu nie było żadnego odzewu, to przeszła ponad tym pytaniem do dalszego omawiania tematu. Po czasie, gdzieś na przerwie przyuważyła mnie i poprosiła do gabinetu. Kiedy zostaliśmy sami, to szeptem powiedziała mi, żebym nigdy nie pytał ją o Katyń bo i ona i ja możemy pożegnać się nie tylko ze szkołą ale jeszcze nas zamkną. To już były lata 1949–50 i stalinizm już zaczynał szaleć a wśród uczniów już były wtyczki a jeśli nawet nie wśród samych uczniów to oni mieli rodziców i krewnych, którzy

często z nich nieświadomych tego co i do kogo mówią, różne informacje wyciągali. Ponieważ ja dobrze się uczyłem, to często byłem starostą klasy, lub innym funkcyjnym. W liceum też byłem starostą. Ktoregoś razu przyszedł do mnie jeden z kolegów prosząc o spotkanie po szkole sam na sam. Powiedział mi, że wówczas dopiero zdradzi mi o co chodzi. Niechętnie, ale spotkałem się z nim. W trakcie tego spotkania wyciągnął notatnik a w nim miał wynotowane datami i nazwiskami co, kto i kiedy powiedział. Poprosił mnie jako starostę o pomoc przy opracowaniu tego i nadaniu biegu sprawie, czyli zgłoszeniu tego do UB. Ja spojrzałem w te notatki a tym były wypowiedzi moich kolegów z klasy a pochodzili z różnych środowisk. Ja w liceum chodziłem już do klasy przerośniętych, czyli wśród nas byli m.in. i chłopcy z AK i z Armii Andersa i my Sybiracy. A on, ten szpicel chciał na nas donosić. Powiedziałem mu, żeby dał mi te notatki to jako starosta się nimi zajmę a on niech już nic nie robi. Szybko ostrzegłem kolegów, że mamy szpicla. Chyba zorientował się, co się stało i że wśród nas jest spalony bo zdał jeszcze z nami maturę a potem szybko wyjechał i przepadł bez wieści. I to było jego szczęście. Po maturze poszedłem na studia na Politechnikę Szczecińską. Pamiętam trudną rozmowę w domu. Bardzo chciałem się uczyć, ale mamy nie było stać żeby kolejne lata mnie utrzymywać. Długo rozmawialiśmy i ostatecznie ustaliliśmy, że będę uczyć się dalej. Studia skończyłem z świetnymi wynikami. Potem ukończyłem jeszcze w Warszawie podyplomowe studia z organizacji i zarządzania biurami projektowymi. Egzamininy końcowe przypadły na czas mojej choroby na gruźlicę. Jednak dzięki przychylności lekarzy i wykładowców, mogłem uczyć się w szpitalu, pocztą dosyłać prace zaliczeniowe a na końcowe egzamininy otrzymałem przepustkę ze szpitala. Studia ukończyłem z wyróżnieniem i otrzymałem nagrodę.

Życie bez Ojca

Trudno nam było wyrastać bez ojca. Dla mojego brata to ja byłem ojcem. Nie najlepszym ale miał we mnie oparcie. Popeliłem mnóstwo błędów. Byłem nadopiekuńczy, ale przecież wychowywałem go od szóstego miesiąca życia, choć sam miałem raptem 6 lat. Przecież sam byłem dzieckiem i potrzebowałem opieki. Skąd miałem wiedzieć, jak się wychowuje dzieci. Czasami ciążył mi bardzo. Między moimi kolegami i ich rodzeństwem różnica sięgała roku, dwóch lat no czasami trzech. Jak trochę podrośliśmy, to takie różnice przestały być zauważalne. Między moim bratem a mną różnica wynosiła sześć lat i to już było dużo. Pętał się między nami, przeszkadzał nam, wszędzie chciał z nami chodzić. My mieliśmy już swoje sprawy a on nas podpatrywał. Wszyscy mieliśmy go dosyć. Uciekaliśmy od niego. Z drugiej jednak strony było mi go żal bo w naszym gronie nie było jego rówieśników, ponadto bałem się żeby coś mu się nie stało. Przecież wokół było mnóstwo niewypałów, niewybuchów. Sami często ryzykowaliśmy. Ciągłe więc byłem w rozterce. Ta miłość braterska nie osłabła nawet kiedy wyjechałem do szkoły do Szczecina. Bardzo cieszyliśmy się ze spotkań, kiedy przyjeżdżałem z okazji świąt czy ot tak czasami aby mama zwyczajnie mnie opłała. Strofowałem mamę wówczas, że go rozpuszcza, że nie zmusza do nauki a on żartował sobie, że przyjechał ukochany synek mamusi i z pewnością zaraz będzie rosół i kura na obiad. W Szczecinie nie dojadłem, a nawet jeśli jadłem do syta to nie zawsze to było bardzo wartościowe, więc jak przyjechałem to mama bardzo chciała mnie ugościć i czasami faktycznie z tej okazji kurę zabijała. Brat był osobą bardzo radosną i towarzyską. Generalnie to wszystkim chciał pomagać. Wszędzie go było pełno. Solidarność, której nauczył się na

Syberii w tych warunkach się nie sprawdziła, Mnóstwo osób go naciągało na różne formy pomocy. Miał nawet kłopoty finansowe, bo też zaufał niewłaściwym osobom. Może gdyby ojciec był, to też byłoby inaczej. Brakowało nam tego ojca w wieku młodzieńczym. Nie mieliśmy wzorca osobowościowego. Nie miał nam kto doradzić w wyborach życiowych, w sprawach wyborów szkół, dalszego kształcenia czy ożenku. Brak ojca wywoływał też w nas kompleksy wobec rówieśników, którzy mieli obojga rodziców. Rodził też w nas nieufność wobec otoczenia, bo nie mieliśmy za sobą tej tarczy ochronnej, jaką są rodzice dla dzieci a w przypadku chłopców–ojciec. Nie miał nas kto naprowadzać na właściwą drogę, wzbudzić w nas zainteresowanie sportem czy zarazić innymi pasjami. Nie miał nas też kto zachęcać do sukcesów czy nauczyć zwykłych prac pożytecznych. Wszystko musieliśmy wypracowywać sami, do wszystkiego sami dochodzić. Ja jeszcze pamiętałem ojca. Próbowiałem mozolnie przypominać sobie wszystko co robił i jak robił i w tym co zapamiętałem–go naśladować. Mój brat nie znał już ojca. On wzorował się na mnie. Kiedy jednak był w tym wieku, że bardzo jeszcze mnie potrzebował, to ja już byłem w Szczecinie. Było mu jeszcze trudniej niż mnie. Dochodziła też do tego zwyczajna–tęsknota za rodzicem. Jego brak odczuwaliśmy cały czas. Mimo upływu lat, zawsze święta były dla nas smutne. To samo dotyczyło imienin, urodzin.

Mama

Mama była niską, szczupłą brunetką. Jak ją pamiętam to zawsze była szczupła a w wieku podeszłym wręcz krucha. Pochodziła z wioski ale dzięki temu że pracowała w fabryce miała dużo większą świadomość a jednocześnie dużo większe obycie niż większość kobiet, które trafiły na Syberię. Znała się zarówno na pracy na roli, jak i na zespołowej pracy w fabryce. Ponieważ ojciec był działaczem społecznym i organizował różne uroczystości to i od tej strony miała pewne doświadczenie. Była dla nas niesamowitą matką a jednocześnie prawdziwą Polką–patriotką. Bardzo szybko wypracowywała sobie w otoczeniu uznanie. Była uczciwa, bardzo pracowita ale też mocno pyskata. Potrafiła walczyć o swoje. Kiedy byliśmy w Lesozawodzie organizowała życie towarzyskie kobiet wokół naszego baraku. Bardzo ładnie śpiewała. Znała różne przyspiewki zarówno polskie, białoruskie a nawet i rosyjskie. Często więc zbierała okoliczne kobiety by wspólnie pośpiewać a jednocześnie podtrzymać je na duchu, namawiać do wytrwania. Ponieważ była bardzo dobrym pracownikiem, miała uznanie u władz obozowych więc często potrafiła wywalczyć dla kobiet dodatkową pracę na przykład na polu przy zbieraniu ziemniaków czy przy żniwach. Dzięki temu mogły na przykład zarobić dodatkowo pół wiaderka ziemniaków czy też jakieś kłosa. A to pozwalało znów przetrwać parę dni. Któregoś razu zorganizowała dla innych niesamowitą jak na tamte warunki rzecz. W Lesozawodzie był młyn. Oczywiście pracował tylko dla kolchozu. Ponieważ my wszyscy ciągle zbieraliśmy te kłosa i wybieraliśmy ziarna to każdy miał jakiś zapas. Niektórzy też za uciulane pieniądze kupowali gdzieś po woreczku ziarna. Zmilenie ziaren na mąkę było problemem. Jeden z naszych sąsiadów zrobił takie malutkie

żarna, z których czasami korzystaliśmy. One sprawdzały się przy mieleniu odrobiny ziaren na jakąś zacierkę. Jeśli już miało się woreczek ziarna, to był problem. Mama więc przekonała miejscowe władze, żeby zgodziły się na jednorazowe mielenie w młynie. Może przekonała ich argumentami, że zadowolone kobiety będą lepiej i szybciej pracować? Nie wiem, ale to byłoby w jej stylu, bo często takim bajerowaniem różne rzeczy załatwiała. Była drobna, bystra. Jak trzeba było to się stawiała, jak trzeba było to dla dobra sprawy i samogonu się napiła a jak uznała że tym razem trzeba łagodnie to wstawiała różne bajery. Najważniejsze, że władze zgodziły się uruchomić młyn dla wszystkich mieszkańców Lesozawoda i każdy mógł swoje ziarna zmielić. Jak pamiętam, to w czasie naszego pobytu w Lesozawodzie, taka akcja mielenia odbyła się chyba trzy razy. Cała operacja wymagała jednak dużej logistyki w działaniu. Ziarno było niezwykle cenionym dobrem i nikt nie chciał się dzielić swoimi ziarenkami z kimś innym. Tu chodziło o przetrwanie i życie. Jak zatem to się odbywało? Otóż kosze zasypowe były na piętrze a młyny na dole. Należało więc na krzyk młynarza wrzucić swoje ziarno do kosza na górze a następnie szybko na dole odebrać zmieloną mąkę. Musiało to być tak skoordynowane, że kiedy koła młyńskie kończyły mleć mąką jednej osoby, to natychmiast do kosza musiała zasypywać ziarno osoba następna. Chodziło bowiem o to by koła młyńskie nie ocierały się o siebie, bo się niszczyły. Osoba na dole miała tylko chwilę na odbiór swojej mąki, bo już w kolejce stawała ta, której ziarno aktualnie się miało a na górze już do zasypiania czekała następna. Teoretycznie jest to proste. Jednak zważywszy, że było tam mnóstwo starszych, osłabionych i mniej sprawnych osób to musieliśmy bardzo się starać, żeby cała akcja przebiegła szybko i sprawnie. Od tego bowiem zależało czy władze Lesozawoda zgodzą się na kolejne uruchomienie młyna lub na inne ustępstwa. Ponadto, gdyby okazało się, że z jakiegoś powodu koło młyńskie uległoby zniszczeniu to moja mama byłaby za to odpowiedzialna i natychmiast zostałaby skazana za niszczenie mienia państwowego. A za to groziła najwyższa kara czyli dożywocie w obozie karnym.

Ale jakoś nam się zawsze udało. Wszyscy byli szczęśliwi bo mieli mąkę. Aż trudno dziś uwierzyć ile ona znaczyła dla nas w tamtych czasach a szczególnie w tamtych warunkach. Kłosa żyta były dla nas symbolem przetrwania.

Mama była niesamowitą kobietą. Całe swoje życie poświęciła dla nas. Na Syberii walczyła o nas jak lwica a i później w Polsce też nie spasowała. Była inwalidką. Po wypadku miała niesprawną lewą rękę. Ponieważ nie udało się pozszywać pozrywanych nerwów, to dłoń miała już do końca życia w przykurczu. Nie przeszkadzało jej to normalnie pracować. Ponieważ po powrocie z Syberii nie mieliśmy dosłownie nic i wszystkiego musieliśmy dorabiać się od podstaw a pensja mamy była niska to dodatkowo brała do domu z cukrowni robocze rzeczy do prania. Ponadto prała i prasowała jeszcze rzeczy prywatnym osobom. Sam bardzo często wieczorami odnosiłem paczki z wyprasowanym praniem do różnych osób. Kiedy w cukrowni była możliwość wzięcia działki pracowniczej, mama też ją wzięła i uprawialiśmy na niej warzywa łącznie z ziemniakami, żeby mieć jakieś zapasy na zimę. Było nam bardzo ciężko. Nie wyobrażam sobie, jak jednak mogłoby być, gdyby nie zaradność i pracowitość mamy. To dzięki jej pracowitości mogłem skończyć studia. Ona naprawdę całe swoje życie poświęciła nam. Była ładną kobietą, wesołą, towarzyską. Podobała się mężczyznom. Miała jednak swoje zasady. Nigdy powtórnie nie wyszła za mąż.

Syberyjskie Matki

Nasze matki przeżywały różne strachy. Jedne towarzyszyły im w każdej sekundzie dnia, inne w chwilach gdy zmęczony umysł chciał uciec od codzienności a niewidzące oczy błędziły po stepie. Jedne i drugie były paraliżujące. Pierwsze dotyczyły nas dzieci. Każda z matek walczyła o swoje przetrwanie w dwójnasób. Tak po prostu jak walczy każdy człowiek ale też z myślą o dzieciach. Każda bowiem z nich wierzyła, że dopóki żyje jest też wstanie uchronić od śmierci swoje dzieci. To ten strach przed absurdalną śmiercią z głodu czy zimna czynił nasze matki niewiarygodnie silnymi i wyzwalał w nich pokłady energii i pomysłowości, o które chyba nawet same siebie wcześniej nie podejrzewały. Choć same potrzebowały siły, to jednocześnie były gotowe oddać własnemu dziecku ostatnią skórkę chleba i dalej słaniając się na nogach walczyć o przetrwanie. Strach drugi wynikał z samotności i oddalenia. Zakradał się podstępnie i paraliżował umysł. To był strach przed zapomnieniem. Ileż to razy nasze matki zadawały sobie pytanie, czy ktoś jeszcze pamięta o naszym istnieniu. Czy ktoś modli się o nasz powrót, czy ktoś gdzieś nas wspomina, czy ktoś gdziekolwiek na nas czeka i czy ktoś upomni się o nas. Ileż trzeba było mieć siły, żeby zwalczyć w sobie ten strach codzienny i jednocześnie pojawiające się co jakiś czas demony. Ileż trzeba było mieć siły, by z podniesioną głową iść codziennie do pracy, walczyć o kolejny dzień przetrwania i wierzyć, że któregoś dnia Polska się o nas upomni. Że któregoś dnia paraliżujące zimno i obezwładniający głód pozostaną tylko wspomnieniem. Ta siła naszych matek, także nas trzymała przy życiu. Wyzwalała w nas energię i pomysłowość w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Byliśmy tam sobie nawzajem potrzebni. My dzieci byliśmy dla naszych matek motywacją,

kołem napędowym do życia one dla nas przez swą postawę,
nadzieją na lepsze czasy.

Najlepiej o Matkach Sybiraczkach napisał Marian Jonkajtys:

*Nie ma takiego trudu,
Takiej pracy na świecie,
Której byś—Polska Matko—
Nie tknęła
Dla dobra dzieci!
W Sybirze,
Na zesłaniu
Umiąłeś robić wszystko:
Byłeś murarzem, cieślą.
Szwecem i traktorzystą...
Zdunem, hydraulikiem,
Rozwozicielem kwasu,
Budowniczym kolei,
Wyrębywaczem lasu...
(...)
Ty, w czasie epidemii,
By życie nam ratować,
Dziesiątki kilometrów
Umiąłeś przewędrować!
W śnieg,
W głuszę, bezdrożami,
Którymi nikt nie jedzie...
Do szpitala!
Choć wilki,
Choć na drodze niedźwiedzie!
I brnęłaś, Polska Matko,
Przez lód, powódź, zawieję...
Przynosiłaś lekarstwo,
Albo tylko nadzieję...*

My wszyscy którzy wróciliśmy z Syberii, w pierwszych latach po powrocie, chcieliśmy o tym czasie jak najszybciej zapomnieć. Mimo iż często spotykaliśmy się to nie rozmawialiśmy ze sobą o Syberii. Chyba, że to wynikało z jakiegoś tematu, ale sami nie wracaliśmy do żadnych wspomnień, nie rozdieraliśmy ran. Wręcz uciekaliśmy od tych wspomnień. Chyba chcieliśmy wyprzeć je z pamięci. Dziś jest już łatwiej.

Leczenie Traumy

W późniejszych latach, kiedy już pracowałem i miałem trochę odłożonych pieniędzy, śledziłem oferty biur podróży. Szukałem wycieczki, która w swojej ofercie miała pobyt w okolicach Lesozawoda. Odczuwałem ogromną psychiczną i moralną potrzebę odwiedzenia tych miejsc. Chciałem pojechać tam jako wolny człowiek i jeszcze raz spojrzeć na te miejsca. To było coś silniejszego ode mnie. W 1977 roku znalazłem taką wycieczkę. Trasa wiodła przez Moskwę, Irkuck, Nowosybirsk i Abakan. To było to. Jak leciałem samolotem z Nowosibirska do Abakanu to ogromnie to przeżywałem. Lecieliśmy nad górami sajańskimi na tyle nisko, że było widać zmieniające się kolory. Poinformowałem uczestników wycieczki, dlaczego lecę i o tym, że przebywałem tu 6 lat. Uczuliłem wszystkich, żeby oglądali zmiany barw terenu. Najpierw zielona tajga, potem biel szczytów górskich a następnie szaro-beżowa barwa ziemi abakańskiej. Na miejscu w Abakanie znalazłem taksówkarza autochtona czyli Chakasa i wynająłem go na cały dzień. Obecnie Lesozawod nazywa się Ust Abakan. Najpierw pojechaliśmy do wadakaczki, która jak się okazało nadal stała w niezminionej formie w tym samym miejscu. Od wadakaczki odchodziła ulica Karola Marksa a tam, nadal stał nasz barak. Chciałem wejść do środka. Niestety nikogo nie było w domu. Byłem w godzinach przedpołudniowych, kiedy wszyscy byli w pracy. Miasteczko praktycznie nic się nie zmieniło. W 1977 roku nadal stały te same domy, nadal były drewniane trotuary. Jedyne co się zmieniło to droga z Abakanu do Lesozawoda czyli Ust Abakanu. Położono na niej asfalt. Wyasfaltowano też plac z rynkiem i wadakaczką. Reszta się nie zmieniła. Nawet te szopki, które stały w podwórzach, choć już pochylone ze starości to

nadal były na swoich miejscach. Odwiedziłem cmentarz i groby tych wszystkich, którzy nie podołali przetrwać tych sześciu okrutnych lat. Tak wielu znajomych tam zostało. Dużo za dużo. Pomodliłem się za spokój ich dusz przy grobach. To było ogromne przeżycie. Potem pojechałem do miasteczka, kupiłem kartki pocztowe, dla wszystkich znajomych, z którymi przyszło mi tu spędzać te sześć straszliwych lat, poszedłem na pocztę w Abakanie, ostemplowałem je pieczętą, ale nie wysłałem ich z Abakanu. Bałem się, że władza radziecka ich nie przepuści. Wysłałem je dopiero po powrocie do Polski. Były ogromną niespodzianką, ale też i zaskoczeniem dla wszystkich moich znajomych, którzy je dostali. Mnie ten wyjazd był bardzo potrzebny. Musiałem jeszcze raz dotknąć tej ziemi, jeszcze raz spojrzeć na te miejsca, ale jako wolny człowiek.

Syberyjska Spuścizna

Do dziś dzień pozostał mi ogromny szacunek dla chleba. Mogę być w najbardziej ekskluzywnej restauracji, w najbardziej nobliwym towarzystwie, ale zgarnę wszystkie okruszki. Wokół mnie nie uświadczy się nawet pół okruszka chleba. Takie pozostało we mnie poszanowanie chleba, którego ciągle nam brakowało a o każdy okrusz trzeba było dbać i walczyć. W tamtych czasach tylko raz jadłem biały chleb. To był już chyba 1945 rok. Wracałem z Czarnogorki. Sprzedawałem szczaw albo lepioszki. Chciałem kupić gdzieś chleb. Powiedziano mi o takim sklepie, w którym sprzedawano też chleb na kartki, a który był daleko na uboczu. Bardzo dużo drogi nadłożyłem, aby do niego dotrzeć, ale stwierdziłem, że muszę spróbować a może akurat tam uda mi się kupić jakiś chleb bo już od dawna nie miałem szczęścia. No i udało się. Nie tylko, że był chleb na kartki to jeszcze mieli jasny chleb foremkowy. Choć nie należałem do tego regionu to jakoś uprosiłem i mi sprzedali. Miałem jasny chleb! Jasny chleb. W chwili, kiedy wziąłem go do ręki to prysły zasady. Choć od pierwszego dnia pobytu mama wbijała nam do głowy, że wszystkim mamy się dzielić, że nie wolno jeść samemu to nie mogłem się oprzeć i nim dotarłem te około dziesięciu kilometrów do domu to chyba ćwiartkę tego chleba zjadłem. Nie mogłem się oprzeć. Pierwszy raz po kilku latach trzymałem biały chleb. Pierwszy raz od wyjazdu z Polski jadłem biały chleb.

Zamiast Zakończenia

Lista osób przebywających na Syberii, w Lesozawodzie i Abakanie w latach 1940–1946. Spis przywołany z pamięci i sporządzony w 1989 roku przy pomocy kolegi Bolesława Wróbla.

Żymetro – matka, 2 córki i syn. Syn Józef i córka Stasia, zmarli w pierwszym roku pobytu na terenie Kołchozu Mochow, w którym to przebywali razem z nami. Przeżyła najmłodsza córka Lodzia. Po powrocie do Polski mieszkała w Stargardzie Szczecińskim.

Lipnicka – matka i dwaj synowie Marian i Staszek. Kolegowaliśmy się. Po powrocie do Polski, Marian zbiegł do Anglii.

Komorowska – matka, córka Genia, synowie Józek, Marian oraz najstarszy Janek. Synowie pani Komorowskiej byli moimi serdecznymi kolegami. Dziś poza Jankiem już nikt z tych osób nie żyje.

Miksza – matka, córka i 3 synów. Najstarszy wówczas 18-letni syn poszedł do Armii Andersa, syn Marian został zabity w trakcie próby kradzieży jedzenia, pani Miksza zmarła na Syberii. Pozostała dwójka dzieci trafiła do miejscowego Domu Dziecka. Wrócili do Polski.

Wołczkowa – matka i 4 córki (jedna miała na imię Marysia) oraz syn Władek. Po powrocie do Polski Władek mieszkał w Turoszowie.

Wojtasińska – matka i synowie Kuba i Gienek. Obaj poszli do Armii Berlinga i zginęli.

Subocz – matka, córka i syn Heniek. Heniek ochraniał nas przed rosyjskimi wyrostkami, którzy bili nas za sam fakt, że tam byliśmy. Heniek poszedł do Armii Andersa.

Wilk – matka i 2 synów. Synowie Miś i Wilk byli naszymi kolegami.

Stopa – matka i 2 synów.

Jaworscy – ojciec, matka, syn Feliks i córka. Pan Jaworski został zabity w trakcie pracy, kiedy pilnował pola.

Gajdanowicz – nauczycielka.

„Agrypina” – to był jej pseudonim, nazwiska nie znam. Była nauczycielką i żoną generała. Na miejscu była szefową naszej szkoły.

Stanisława Kukła – rocznik 1929. Na miejscu w Leszawodzie opiekowała się oficerem NKWD. Po powrocie do Polski została siostrą medyczną. Mieszka w Legnicy. Utrzymuje kontakty z Marianem Pietkiewiczem.

Słonina – matka, córka Amelka i syn Józek.

Kiewra – nauczycielka. Pomogła pani Pietkiewicz załatwić dokument repatriacyjny w Krasnojarsku.

Regina Antoniak – matka i syn. Chłopak zmarł w Leszawodzie

Kleszczykowie – ojciec, matka, córka Władka, syn Edek. Edek był moim serdecznym kolegą. Już nie żyje.

Staniszewska – matka i 2 synowie Janek i Romuald. Romuald urodził się w grudniu 1939 roku. Już nie żyje.

Wróbel – matka i syn Bolesław. Bolesław to mój kolega i współautor tego wykazu.

Olszewscy – ojciec, matka, córka i syn. Ojciec rodziny Józef Olszewski zarządzał rozdziałem darów amerykańskich. Był naszym mężem zaufania. W pamięci nas wszystkich zapisał się jako złodziej i najgorsza kanalia.

Ziminowie – ojciec, matka, córka Wala i synowie Siergiej i Michał. Synowie zakładali w Gryficach Spółdzielnię Rolną.

Pietkiewicz – matka, córka Alfreda i syn Marian. Marian był i pozostał moim najserdeczniejszym przyjacielem. Utrzymujemy kontakty do dziś.

Ciuprykowie – ojciec, matka. 3 córki Maria, Zofia i Krystyna oraz 2 synowie Kazimierz i Henryk – moi serdeczni koledzy.

Popławska – matka i syn. Mieszkali w Abakanie.

Zadziorka – matka, córka Zofia, syn Staszek. Mieszkali w Abakanie. Zadziorkowie a już szczególnie Staszek bardzo mi pomagali, kiedy jeździłem do Abakanu.

Kozakiewicz – matka i córka Gienia. Mieszkali w Abakanie.

Rabowa – matka i córki – Krysia i Lusja. Nasze dobre znajome.

Korozejowie – ojciec, matka, córki Irena, Danka i Zosia i syn Heniek. Bardzo przyjaźniliśmy się.

Klimkowie – mąż Bolesław oraz żona. Spóźnili się na transport do Polski i doganiali nas.

Nowak – matka Weronika, córka Stasia i syn Edek – nasz serdeczny kolega.

Wróbel – matka, siostry rocznik 1928 oraz syn Edmund. Edmund razem z panią Kuklą załatwił wagony, którymi transportowano nas do Polski.

Kościuk – ojciec, matka i 2 synowie.

Łojewska Ola oraz roczna córeczka, która zmarła w trakcie transportu.

Głodny – matka, córka i syn.

Olejniki – żona i mąż.

Marchewkowi.

Żymańczuk Tadeusz.

Gawryluk Tadeusz.

Demko – matka, córka i syn.

Kulak Ewa oraz córka Wanda. Wanda pozostała w Leszawodzie przyjmując obywatelstwo rosyjskie.

Szczurek – matka i 2 synów. Obaj poszli do wojska.

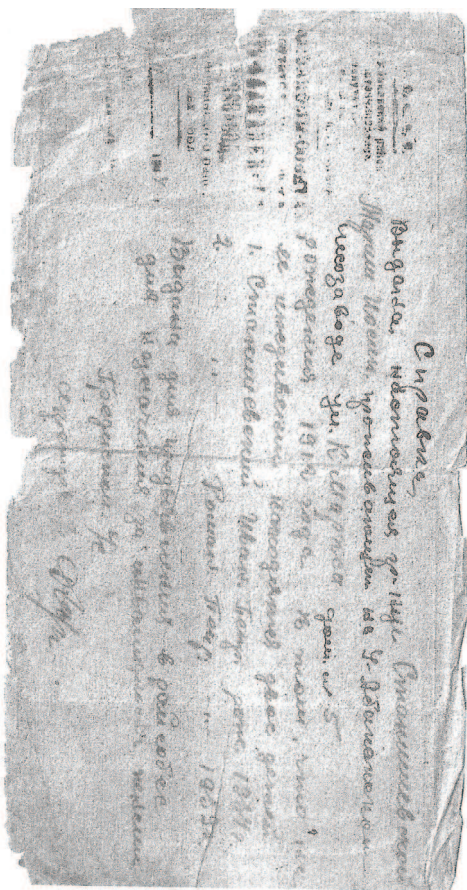
Także osoby o nazwiskach: Kmita, Szczygło, Klimko, Dolinko.

-

Nie byłoby tej książki gdyby nie mój syn Piotr i wnuk Łukas, którzy zmotywowali mnie do przelania wspomnień z czasu deportacji i lat spędzonych na Syberii, za co jestem im ogromnie wdzięczny

Jednocześnie chciałbym podziękować mojemu przyjacielowi Marianowi Pietkiewiczowi, za konstruktywne rozmowy pozwalające uporządkować fakty i wspomnienia z czasów, które przyszło nam razem przeżyć na nieżycziwej syberyjskiej ziemi.

Dokumenty i Mapy



Zaświadczenie informujące o wypadku w pracy
mojej mamy i że ma na utrzymaniu dwoje dzieci:

Staniszewski Jan ur. 1934 r.

Staniszewski Roman ur. 1939 r.

POLSKO-RADZIECKA KOMISJA MIESZANA
DO SPRAW EWAKUACJI
osób narodowości polskiej i żydowskiej
na podstawie Umowy z dnia 6 lipca 1945 r.

ZASWIADCZENIE № A9 17989

OD *Stawki*
Mama c. Jerzef
1912 r.

zamieszkały (a) w *Wierzbickim k.*
m. Dłutów

ada się wraz z członkami swej rodziny
Remon 1938 r.

POWIAT *2.8.46* *300*
wypł. dnia *14.8.46*
stwierdza *14.8.46*

na stały pobyt do Polski na podstawie Umowy
Polsko-Radzieckiej z dnia 6 lipca 1945 r.
14.8.46

Pełnomocnik Polskiej Delegacji

niasto *1946 r.*

Dokument repatriacyjny

Na dokumencie widoczne są pieczętki z informacjami udzielonej nam pomocy po przybyciu do Polski. Można odczytać że we wrześniu 1946 otrzymaliśmy 300 zł., a w listopadzie spódnice, parę spodni, poduszkę...

14

Pracownia

Dana pracownice Uprawy rolniczej
 w Leszowie, w powiecie Leszowski
 w województwie Wielkopolskim
 w dniu 14/12/1942
 w sprawie: o wypłatę za pracę
 w okresie 1/7/1942 - 30/6/1943
 z sumy 208 719 rub. 2463 kmi 20.

1) Wniosek z dnia 14/12/1942. Wg. prz. 208. 02.
 2) Odpowiedź " " 26 " " 192. 47
 3) Celownictwo " " 26 " " 210. 48
 4) Wniosek " " 26 " " 267. 75
 5) Odpowiedź " " 26 " " 251. 54
 6) Deklaracja " " 26 " " 284. 75
 7) Wniosek " " 26 " " 181. 51
 8) Odpowiedź " " 26 " " 164. 24
 9) Wniosek " " 26 " " 221. 69
 10) Odpowiedź " " 26 " " 115. 04
 11) Wniosek " " 26 " " 84. 44
 12) Wniosek " " 26 " " 184. 42

Wniosek z dnia 14/12/1942. Wg. prz. 208 719 rub. 2463 kmi 20.

Wniosek z dnia 14/12/1942. Wg. prz. 208 719 rub. 2463 kmi 20.

ZA ZGODNOŚĆ
 Z ORYGINAŁEM

STARSZY INSPEKTOR

INSPEKTORAT W GRYFICACH
 ul. Dąbki 10, Nr 5
 72-300 GRYFICE

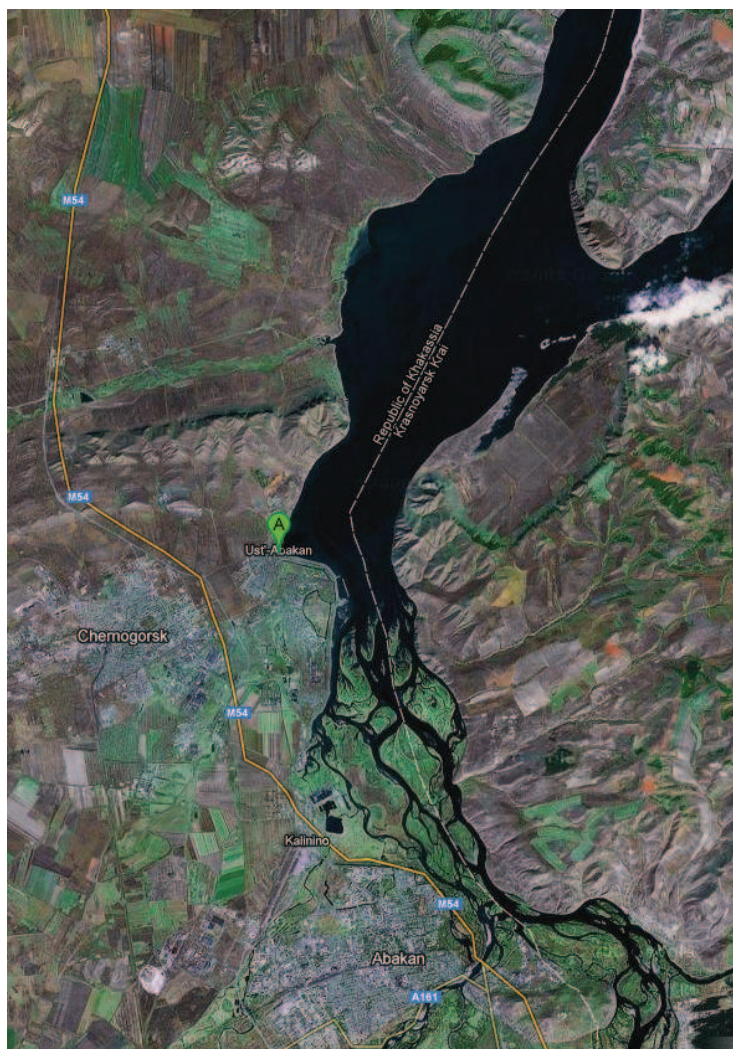
Dokument informujący o zarobkach mojej
 mamy w trakcie pracy w Leszowie:

Lipiec 1942 – Czerwiec 1943



Lesozawod i Mochow

- A – Lesozawod, obecnie ust. Abakan położony nad rzeką Jenisej*
B – Kolchoz Mochow oddzielony od Lesozawoda pasmem górskim



Rejon Deportacji: Krasnojarski Kraj
 Rejon Miast: Abakan – Czernogorsk – Minusinsk.
A – Lesozawod, obecna nazwa: Ust. Abakan



Mały obiekt z czerwonym dachem to ujęcie wody
tak zwana wadaczka

- w lewo od niego droga do sadu i tartaku.
- ulica w dół ul. Karla Marksa, barak numer 5,
w którym mieszkaliśmy, trzeci w kolejności.
- z prawej strony duży kompleks (o ciemnym dachu) to
obiekt wojskowy, przejściowo pełnił funkcję szpitala.

OPRACOWANIE GRAFICZNE I PROJEKT OKŁADKI
FRANCISZEK WARDYŃSKI
www.franekwardynski.com